

PIĘKNY POKOT. *Ze zbiorów p. H. Knothego.*

Prawodawstwo Myśliwskie.

Podatki od prawa polowania.

Wobec licznych zapytań naszych czytelników, przypominamy co mówi „Dziennik Ustaw Rz. P.“ № 74, poz. 747, art. 19:

1) Od wykonywania prawa polowania na mocy prawa własności gruntu dzierżawy, prawa polowania lub innego tytułu prawnego, wolno gminom wiejskim i miejskim pobierać podatek komunalny; w b. dzielnicy pruskiej mogą powiatowe związki komunalne pobierać taki podatek od prawa polowania, wykonywanego na obszarze dworskim.

2) Najwyższe normy podatku określi dla poszczególnych stref państwa Minister Spraw Wewnętrznych w porozumieniu z Ministrem Skarbu oraz Ministrem Rolnictwa i Dóbr Państwowych.

3) Rozporządzenie wykonawcze może uzależnić wykonywanie prawa polowania od wykazania zapłaty podatku.

Co zaś do norm obowiązujących zasięgaliśmy informacji w najkompetentniejszem źródle, gdzie nam powiedziano, iż w jednym z najbliższych numerów Dz. Ustaw Rz. P., podane będą maksymalne normy podatków myśliwskich dla określonych stref. Jeśli pobrana przez sejmiki suma byłaby większa — nastąpić musi zwrot.

Podatek od psów.

Magistrat m. Warszawy opracował nowy statut podatku od psów. Stosownie do tego statutu w roku bieżącym w śródmieściu (komisarjaty pol. od 1 do 15) od jednego psa pobrany będzie podatek w sumie 15 zł. pol., a od każdego następnego po 20 zł. pol. W dalszych komisarjatach (przedmieścia) podatek wynosić będzie 5 zł. pol. rocznie.

Podatek należy wpłacić jednorazowo.

Od podatku są wolne psy utrzymywane dla celów służbowych przez urzędy i instytucje państwowe, samorządowe, psy należące do dyplomatów akredytowanych przy rządzie polskim, jeden pies łańcuchowy na każdej posesji gruntowej lub placu, szczenięta do 3-ch miesięcy oraz psy, utrzymywane przez osoby przyjezdne, przebywające w Warszawie nie dłużej niż miesiąc.

Każdy pies winien być zaopatrzony w znaczek bez względu na to czy podlega on opodatkowaniu, czy też nie.

BAJKA MYŚLIWSKA.

Z państwowych leśnictw dzikie, lecz zacne, zwierzęta
przeznaczone na łowy Pana Prezydenta,
kiedy je kłusowników przerażał proceder —
postanowiły wspólnie odwiedzić Belweder
i Głowie Państwa korne podanie przedłożyć,
by reprezentacyjnych polowań móc dożyć...

Lecz skoro delegacja przybyła zwierzęca,
kazano się jej zgłosić wpierw do pana Lenca.
Ten rzekł: „To wykluczone. Na to niema czasu.
Trzeba złożyć podanie na blankiecie lasu.
Nie możecie pomijać tu drogi służbowej:
od zwierza niech otrzyma podanie gajowy,
gajowy leśnikowi przedłoży takowe,
ten zaś nadleśniczemu. Skończyłem rozmowę“.

„Dobrze — rzekła zwierzyna –- wszystko to być może,
lecz o jedno prosimy, panie dyrektorze...
Niechaj i kłusownika, niszczyciela kniei,
obowiązuje przejście powyższej kolei.
Niech i on, zanim śrótem kotną łanię zdzieli,
zanim siekańcem prośną maciorę ustrzeli,
niech i on złoży najpierw gajowym podanie,
niechaj od gajowego leśnik je dostanie,
ten niech nadleśniczemu prześle je służbowo...
Wówczas wieki będziemy żyć szczęśnie i zdrowo...
A zanim papier dojdzie po długiej podróży
do władz wyższych — kłusownik czekaniem się znuży,
zestarzeje się, straci wreszcie sił ostatek...
A my się doczekamy wnuków i ich dziatek“.

To rzekłszy delegacja czcigodna zwierzęca
uprzejmie pożegnała dyrektora Lenca.

JULJAN EJSMOND.

Ubiegła zima a horoskopy łowieckie.

Że ilość zwierzyny łownej zmniejsza się w naszem Państwie stale, potwierdzają myśliwi ze wszystkich połaci i zakątków kraju, udowadniają to pamiętniki łowieckie i liczbowe statystyki.

Że minął bezpowrotnie urok myśliwskich atrakcji z najświetniejszych czasów łowiectwa, t. j. doby średniowiecza, kiedy taki żubr, łoś, niedźwiedź, choćby bóbr wybrał na ostoję ze szczególnem zamiłowaniem lesiste, chłodem dyszące knieje Polski,— powodem tego częściowo postęp cywilizacji, ilościowe rozrastanie się ludności, a zatem konieczność rozprzestrzenienia życiodajnej ziemi ornej kosztem lasów, karczowanie zalesionych przestrzeni na olbrzymich obszarach, a tem samem zmniejszanie się łącznych ze sobą powierzchniowo kniei, mimowiedne zatracanie i niszczenie ulubionych — dawniej niedostępnych mateczników zwierza, w których coraz łatwiej, coraz częściej ludzkość go niepokoiła, z których coraz dalej go wypłaszała.

Ale zwierza tego było ongi wbród, ludności mało, to też dla wszystkich starczyło ciepłego okrycia ze skór, każdy posilał się czy na wojence, czy w czasie pokoju smaczną, soloną, lub wędzoną dziczyzną, względnie świeżo upieczonym combrem jelenim. Nie odczuwano braku zwierzyny, to też z ekonomicznego znaczenia łowów nie zdawano sobie sprawy, a gdy zorjentowano się w sytuacji, — gdy zaczęto wprowadzać zrazu ograniczenia w ubijaniu zwierza, potem starano, się chronić go drogą powszechnej ustawy, — akcja okazała się spóźnioną i dlatego dzisiaj wyczuwamy pewien żal do przodków, że tak nieoględnie pozwolili na zatracenie bogatej, cennej, a tak potrzebnej łownej fauny leśnej.

Tak więc z jednej strony zmniejszanie się ilości zwierzyny, kurczenie jej środowisk i okrajanie jej areny życia — a z drugiej strony liczebny rozrost ludności, większa ilość konsumentów mięsa, zatem i dziczyzny, większa ilość myśliwych, ulepszony system broni, który dziś aż piątym strzałem oddanym kolejno z browninga przyprawia o śmierć pomykającego przez pole szaraka,—jeśli nie z działania pocisków, to już od samego strachu, — dalej wojna i jej straszne skutki, coraz liczniej zastawiane sidła i potrzaski, zakładanie trutek, przestarzałość i niedostosowanie ustaw łowieckich do obecnych czasów etc. etc., to wszystko stanowi bardzo poważne, bardzo twarde dla zwierzyny warunki, które już dzisiaj stwarzają niesłychanie groźne położenie dla przyszłości łowiectwa.

A jeżeli stawiamy już zarzut naszym przodkom, że błędnie szafowali tą gałęzią bogactwa narodowego, jakim jest obfitość zwierzyny, jeżeli musimy dzisiaj żałować, że gospodarowano w łowiectwie w ten sposób, iż odziewano się w gronostaje, sobole i bobry, w ciepłe wilczury i niedźwiedzie futra, a nam pozostawiono cuchnące baranie kożuchy i kamizelki z zajęczego smużka, to czyż nie słuszną byłoby rzeczą zastanowić się nad tem, iż należy naprawić o ile możności to, co nie było dobrem, aby nie ściągnąć na siebie analogicznego słusznego zarzutu przyszłego pokolenia,—że zatraciliśmy znowu to, co tylko jako depozyt znajdowało się chwilowo pod naszem władaniem.

Bo i resztki, które jeszcze zdołały się zachować mają niepoślednią i bogatą wartość. Suknie jeleni, danieli i sarn, przerabiane na zamsz czyli irchę do przeróżnych użytecznych celów, smużki zajęcze używane na lekkie futerka, sama turzyca do wyrobu kapeluszy, skóry dzików, lisów, borsuków, kun, tchórzy i wydr, drogo opłacane tak przez płeć nadobną, jak upośledzoną, dalej różne części zwierza, jak dziczyzna, wieńce, rogi, łój, tłuszcze, kości, zęby, kły i t. p., wszystko to odgrywa swoją rolę i partycypuje w rozwoju naszego handlu i przemysłu.

O ekonomicznem znaczeniu łowiectwa dla naszego kraju pisali w swoim czasie bardzo wyczerpująco i argumentowali rzeczowo cyframi pp. Różyński i Szachtel, tu pozostaje mi tylko pobieżnie przypomnieć, że jeżeli weźmiemy pod uwagę roczny obrót finansowy, wynikający ze sprzedaży lub z zużytkowania dziczyzny, sukien i skór zwierzyny, tak użytecznej, jak drapieżnej, z wyrobu broni myśliwskiej, bardzo licznych i różnych przyrządów, że wymienię tylko torby, futerały, lunety, binokle, trąbki, pasy, noże, kordelasy, przybory do tresowania psów, etc. etc., jeżeli ujmiemy z kredką w ręce cyfry złączone z utrzymaniem personelu wyłącznie łowieckiego na obszarze naszego kraju, z opłatą za karty myśliwskie, za dzierżawę polowań, zarobki naganek, podwód, koszty karmy zimowej i wiele innych pozycji z łowiectwem styczność mających, — to otrzymamy liczby wprost astronomiczne, zadziwiające mnogością zer i przeolbrzymią swoją wysokością.

Radzę dla przekonania każdemu z myśliwych spróbować taki rachunek szczegółowo zestawić, a przerazi się nieprawdopodobnie wysoką kwotą, jaka się przelewa w obrocie handlowym.

Uwzględniwszy dalej fakt, że dziczyzna jako taka przyczynia się imponująco do dostarczania pierwszorzędnych treściwych artykułów spożywczych, za jakie uważać się musi samo mięsiwo ze zwierzyny, buljony i różne ekstrakty, że przy łowiectwie wchodzi w grę: możność dania zarobku, względnie utrzymania dziesiątkom tysięcy rodzin, spełniających funkcję ochronno-łowiecką, — zabezpieczenie wielu ludzi od zimna za pośrednictwem dostarczania futer,— podniesienie i rozwój handlu oraz przemysłu przy wyrobie broni, amunicji, przeróbce surowców zwierzęcych itp., — to chyba jasną i bezprzeczną jest rzeczą, że łowiectwa nie można traktować jako sport i rozrywkę, lecz jako ważną gałąź społeczną i ekonomiczną, której zachowanie w pełni rozwoju jest obowiązkiem całego narodu, a w szczególności wszystkich bez wyjątku myśliwych.

Ubiegła zima wycisnęła długotrwałe piętno na naszym polskim zwierzostanie w bardzo wyraźny i groźny sposób, pogarszając już i tak nieróżowe horoskopy na dalszy rozwój łowiectwa.

Trzaskające mrozy, bezustanne, niebywale silne, trzymały pełne trzy miesiące w całej Małopolsce. Metrowe zwały śniegu zalegly po kniei, przysypując

całą przyziemną roślinność, z której zwierz musi zwykle korzystać z braku czego lepszego, a do której nie był w stanie dotrzeć zapomocą zmęczonych odnóży. Zwierz czarny, znaczący wyraźnie swój pochód szeroko rozrobionem korytem —prześladowany był i tropiony bezustannie w całym kraju. Sarny cierpiały niezwykle. W lasach łańcuckich pękała sarnom od zimna wzdłuż cewek skóra, na długość kilkunastu centimetrów, znaleziono kilkanaście sztuk padłych z wycieńczenia, mimo podawania karmy. A że zwierz idzie dokonać żywota wśród najniedostępniejszych zakątków, ileż sztuk nie zdołano odszukać i zarejestrować? Karma założona czy wieczór, czy rano, przysypana została śnieżycą w przeciągu godziny, stając się przez to bezużytecznie wyłożoną, a zamoczona, przesycona wilgocią, działać musiała ujemnie. Buraki kładzione w całości po kniei, kradły nasze poczciwe wiejskie gosposie i zabierały jak swoje do domu, zaś przecinane na kawałki dla uniknięcia kradzieży, marzły momentalnie i stawały się karmą niezdrową. Spuszczane osiki wyglądały w kilka godzin jak białe szkielety, najskrupulatniej ogryzione z kory. Wszystko to nie wystarczało wobec rozhukanych żywiołów.

Zające wychudzone, spadłe na dziczyźnie do ostateczności, padały jak kłosy pod sierpem, a pozostałe przy życiu lawirowały wieczorami tuż przy samym gościńcu, aby pożywić się ochłapem siana, spadłym z przejeżdżającej żydowskiej fury. Przyciśnięte miesiącami ostatecznością i głodem, kicały do wsi i osad ludzkich, wpadając w rozmyślnie nastawione sidła i potrzaski. Kłusownictwo i wnykarstwo święciły żniwo — jak rzadko kiedy. Dla szaraków czarna godzina jeszcze się na mrozie, śniegu i głodzie wcale nie skończyła. Roztopy wiosenne, o niebywałych rozmiarach, wody przewalające się wartkim, brudnym strumieniem po przez drogi, rowy i miejsca cokolwiek wgłębione, wytopiły po łozinach i łowiskach nizinnych całą masę tej wdzięcznej i sympatycznej zwierzyny. Nad wyraz smutny i żałosny był obrazek, gdy 25 marca b. r. kilkanaście osób — między nimi i myśliwi — obserwowało na Wisłoku pod Łańcutem piętrzące się kry, które każdej chwili groziły rozniesieniem mostu, a na jednej z nich jechał przemoczony i dygocący od zimna zając. Ale wstrząsającą była scena wtedy, gdy jeden z żołnierzy pełniący na moście służbę ochronną, tego biednego szaraka, ratującego całą mocą życie, strącił osęką, trzymaną w ręku, z płynącej kry do wody. Strącony biedak płynął dalej i starał się wydostać z powrotem na krę, lecz tragicznego — jak myślę — epilogu nie zdołano już ująć oczyma.

Marczaki przepadły! Pierwszego nieboszczyka znaleziono 18 marca na środku drogi leśnej, inne relacje straży łowieckiej podają zgodnie drugą połowę b. m. jako kres krótkiego ich życia.

Kuropatwy nie mogły także przetrzymać ostrości zimy i dostać się do żeru — a wogóle tak ich teraz mało.

W Karpatach nie mogło być lepiej — ale musiało być gorzej. Ta zima odbije się bezwzględnie na naszym zwierzostanie w sposób bardzo dotkliwy i dlatego horoskopy na najbliższe sezony myśliwskie zapowiadają się najfatalniej.

Czy jednak możemy złemu zaradzić i przyjść zwierzynie z pomocą? Sądzę, że nie tylko możemy, ale że to naszym świętym obowiązkiem, bo lekceważąc tę sprawę zatracimy na długą metę te resztki zwierza, które pozostały i z ręką na sercu położoną będziemy zniewoleni powiedzieć sobie samym, że to tylko nasza wina. Polować, dużo strzelać, mieć wiele emocji i wrażeń myśliwskich—to potrafi każdy młokos, ale żeby takich przyjemności zażyć, potrzeba ponieść pewne ciężary i włożyć nieco pracy, dobrej woli i chęci na rzecz i korzyść zwierzyny.

Tylko wspólny łączny wysiłek wszystkich myśliwych i łowców, odnieść może skutek—sporadyczne zabiegi, to niepewne zawodne półśrodki. Zatem myśliwi! Wszyscy razem do pracy według projektu, który mam zaszczyt poniżej przedłożyć.

(D. c. n.). *prof. Wiesław Krawczyński.*

CIETRZEW.

(Dalszy ciąg).

Zabójczo odbija się na toku silny mróz ranny, a jeszcze więcej wiatr. W mróz cietrzewie wylatują wprawdzie na tokowisko, ale bez porównania mniej licznie, niż w ciepłe ranki, a i te, co wyleciały tokują bez werwy, często urywają i siedzą czas długi z nastroszonem pierzem, czekając wschodu życiodajnego słońca. W wietrzne zaś ranki, a zwłaszcza przy deszczu lub śniegu cietrzewie nie tokują wcale, albo bardzo słabo. Jednak wiatr, nawet silny, który powstaje dopiero ze wschodem słońca wpływu na tok niema.

Pierwsze preludja pieśni cietrzewiej słyszeć się dają, jak już rzekłem, w końcu zimy, przytem na północy bynajmniej nie później, niż na południu Polski, punkt kulminacyjny jednak przypada w różnej porze, zależnie od szerokości geograficznej.

W południowych województwach (prócz gór, gdzie z powodu wzniesienia nad poziomem morza wiosna przypada później) najlepszy tok bywa w początku kwietnia, na północy zaś dopiero w drugiej połowie tego miesiąca, albo nawet w pierwszej połowie maja, przytem ma pewien wpływ faza księżyca. Czy jest tak wszędzie, powiedzieć nie umiem, ale w Witebszczyźnie, gdzie polowałem przez szereg lat, najzażartsze toki przypadają w czasie pełni. Najczęściej w ciągu wiosny jest jeden taki okres, niekiedy jednak bywają dwa, i pamiętam, że w roku 1908 najwspanialsze toki były dnia 15 kwietnia i 13 maja w dniach pełni.

Toki na północy bywają wogóle dłużej, gdyż jeżeli np. w Kieleckiem rozpoczynają się 20 marca i kończą 20 maja, co można uważać za maksimum

trwania, to w Witebszczyźnie początek przypada zwykle na 25 marca, a koniec na 10 czerwca, a zdarzało mi się słyszeć tokującego cietrzewia dnia 22 czerwca (1907 r.).

Pozatem głos tokowy cietrzewia słyszeć się daje nieraz w ciągu roku, za wyjątkiem dwóch miesięcy letnich, kiedy się ptaki pierzą. Bulgotanie, słyszane w ciągu dnia czy to jesienią, czy to zimą, czy też nawet wiosną (na parę godzin przed zachodem słońca) zwiastuje zwykle nadciągającą poważną niepogodę.

Inaczej rzecz się ma z tokiem jesiennym. Biorą w nim udział tylko stare koguty i tokują samotnie, zawsze na drzewie i oczywiście bez najmniejszego udziału płci pięknej. Są to poprostu platoniczne reminiscencje cudnych chwil wiosennych, nawiane przez smętek jesienny, gdy uciekają w niepowrotną dal ciepłe dnie błogosławionego lata.

Tok jesienny rozpoczyna się zwykle w końcu sierpnia i trwa około miesiąca, przyczem ptak w jasne ciepłe dnie śpiewa z przerwami od wschodu słońca do południa, w chmurne krócej, a w niepogodę nie odzywa się wcale.

Gdy wiosna się ustali i nastaną trwałe ciepła, znosi cieciorka pierwsze jajo do przygotowanego w tym celu gniazda. Gniazdo to jest nad wyraz proste i stanowi zwykły kolisty dołek, wygrzebany w ciepłym, suchym gruncie (piasek albo leśna próchnica), wysłany odrobiną mchu i pierza, które ptak wyskubuje sobie z boków i brzucha.

Miejsce, wybrane na gniazdo, jest zaciszne, w gęstwinie, na wysokiej kępie wśród błota, we wrzosach lub trawie, w zagajach sosnowych, krzakach albo kupach gałęzi.

Codziennie przybywa jedno jajo, a matka poza żerem i tokowiskiem siedzi pilnie, ogrzewając własnem ciałem i broniąc w nocy od zdradliwego wiosennego przymrozku.

Ilość jaj jest bardzo różna. Stare kury znoszą najwięcej i liczba ich dochodzi niekiedy do 16-stu, młode mniej, a przy pierwszym lęgu najwięcej pięć. Nie wszystkie też wylęgają się szczęśliwie i unikają zniszczenia przez dwu i czworonożnych drapieżników, tak że średnio wylęga się młodych 6—8 sztuk. Matka wysiaduje jaja przez 24 dni, poczem młode pisklęta natychmiast po obeschnięciu porzucają wraz z matką gniazdo i nigdy już doń nie powracają.

Przez pierwsze tygodnie stadka cietrzewi trzymają się miejsc jaknajspokojniejszych, suchych, zasobnych w bujne trawy i krzaki, niezbyt zarosłych drzewami, aby był dostęp światła i ciepła słonecznego.

Gdy młode cietrzewie zmienią już pierwszą szatę puchową na upierzenie i zaczną latać, stadka odkoczowywują nieco dalej od miejsc lęgowych, zaczynają trafiać się na bagnach leśnych i wówczas to aż do późnej jesieni najpilniej trzymają się okolic, obfitujących w jagody, miejsc sąsiadujących z pólkami owsa, lnu, tatarki i t. p., byle spokojnych, nie deptanych przez bydło i nie niepokojonyhh przez włóczących się ludzi i psy.

Młode cietrzewie zaczynają latać bardzo wcześnie, już w drugim tygodniu życia i spłoszone, ratują się ucieczką, siadając wówczas często na drzewach. Starsze rzadziej już siadają na uliścionych drzewach, wyjątkowo jednak przytrafia się to nawet dużym sztukom. Przeważnie jednak, spłoszone, padają znowu na ziemię. Matka tak samo się zachowuje póki młode są maleńkie, siada na drzewach i, kwokając, stara się zwrócić uwagę wroga na siebie i odciągnąć go od ukrytych dzieci. Później zdarza się to coraz rzadziej.

Wyrosłe już cietrzewie zmieniają niekiedy jesienią miejce pobytu. Po sezonie jagód przenoszą się w bliskie sąsiedztwo pól, do borów wrzosowych, na mszary, gdzie jeszcze do śniegów trzymają się jagody. Z chwilą opadnięcia liści brzóz zaczynają siadać na drzewach i po żerowaniu na polach (oziminy), w trawach i krzakach dokarmiać się pączkami brzóz. O ile stadko nie jest rozbite przez uśmiercenie matki, to trzyma się stale razem, aż do wiosny.

Stare koguty zaraz po skończonym toku, czyli w początku lub końcu czerwca (zależnie od szerokości geograficznej) opuszczają dotychczasowe miejsca pobytu i wynoszą się do najdzikszych i najniedostępniejszych ostępów. Całą troskę wychowania potomstwa zwala stary cietrzew na matkę stada, a sam nie troszczy się wcale o losy gniazda i piskląt.

Chowając się w dziko zarosłych bagnach, w nieprzebytych warowniach splątanych krzaków, traw i zielska, w gęstwinach nadwodnych, zmienia zużyte pierze na nowe i to tak gwałtownie, że, jak już wyżej zaznaczyłem, traci przytem możność latania.

Po dwóch tygodniach życia nad wyraz skrytego, gdy wróci już możność latania, ale rozsiane gdzieniegdzie na upierzeniu szare plamki i niewyrośnięty ogon wskazują, że pierzenie się jeszcze nie skończone, cietrzew opuszcza swój matecznik i podąża ku miejscom żyźniejszym, ku polom i jagodnikom.

(D. c. n.). *Włodz. Korsak.*

URYWKI Z MYŚLIWSKIEGO PAMIĘTNIKA.

(*D. c.*).

Do działów, które miały być opolowane we czwartek, ta sama droga prowadziła, co na Polańskie—przez Łęgi. Polańskie leżało po lewej stronie Koropczyka, dzisiejsze zaś działy, Pohazy i Malinik, po prawej; woleliśmy jednak gościńcem górą objechać i następnie w dół się spuścić. W królestwie aury coś się dzisiaj działo, coś przełamywało. Ton nieba był jaśniejszy i ogromne sine mgły falowały w przestworzu, niespokojne, zmienne. To w górę uciekały odkrywając ziemię od wilgoci błyszczącą, to znów niespodzianie na niej osiadały, ukazując wzamian skrawek nieba chwilami prawie słoneczny. Stojąc już w starym lesie na stanowisku podziwiałem zgodność między błękitem pni bukowych, a bar-

wą mgieł las przepełniających. By obraz nie był jednostajny, przerywała go gdzieniegdzie swą białością brzoza. Jakież bogactwo piękna mieści się w przyrodzie, jeśli nawet zima bezśnieżna wzrok przykuwa! Myśliwy to bogactwo zdobywa, bo myśliwstwo błogosławionym jest pośrednikiem między tem pięknem a człowiekiem. Fałat rzuci je na płótno, Weyssenhoff misternie wypowie, ale odczuje w milczeniu każdy myśliwy — w tem jego wysoka górująca nad sportowcem cecha. Inne jeszcze myśli nasuwały mi się, gdy w miot patrzałem — o polowaniu w grudniu 1913 r., które taką czarnej zwierzyny mnogość wykazało, iż ilość sztuk widzianych daleko w drugą setkę sięgała; w miocie ośmiu myśliwych dało 29 kulowych strzałów i używanie było niezwykłe, bo w rzadkim, debrami przerywanym lesie każdy widział prócz swoich, także dziki sąsiadów. Dziś tego nie będzie, wojna gdzieindziej zapełniła rewiry, u mnie wyłom ogromny uczyniła. Z tych refleksji wyrwał mię huk strzału na sąsiedniem stanowisku Müntera; nie był to strzał kulowy, bo przez linję przebiegł lis, otrzymawszy strzał, stoczył się w jar; idziemy tam, lisa niema, są kłaki i farba. Münter, który najdrobniejszym epizodem żywo się przejmuje, opowiada przebieg spotkania, tłómaczy, no i przeklina, Józio się dziwi, iż taki myśliwy ujść lisowi dozwolił — lecz jest na to rada, foksik ochoczo biegnie w trop, wnet słyszymy ujadanie, szybkonogi Józio biegnie i kijem dobija sprawcę zamieszania. Udaliśmy się na Malinik; duży ten miot, liściasty, nieczyszczony jeszcze młodnik mogliśmy od biedy wziąć na raz, ponieważ szczupłe nasze grono wzmocniłem dzisiaj emerytem leśniczym i kasjerem. Dolną flanką były Łęgi z przepływającym przez nie Koropczykiem. Tam stanął Józio i w dwóch odstępach dał po kilka kulowych strzałów. Münler powyżej mnie stojący położył znowu lisa. Cieszyłem się, że mój gość ilością lisów wetuje sobie brak spotkania lepszego. Dziwne było, że lis ten wyszedł z miotu za nami i wchodził do pędzonego. Pokazało się, iż przedtem temu samemu niewątpliwie lisowi, zmykającemu flanką na Łęgi, Józio na odległość paruset kroków posyłał kule. Ale i do dzika strzelał, niestety, także na odległość 200—300 kroków. Okazała bowiem sztuka, odyniec zapewne, wolno zeszła na łąki, przeprawiła się przez potok i udała się w przeciwległy rewir, w Polańskie. Inne jeszcze były dziki w miocie, lecz niewidziane przez nas, uderzyły w tył. Zaczęliśmy na Polańskiem szukać zbiega; w pierwszym miocie kasjer ujrzał go, jak wyszedł na linję, kroczył po niej czas jakiś, wypełniając ją swą masą, poczem znikł w miocie przyległym. Nie strzelił kasjer, nie chcąc go nam może odbierać, a może też—i słusznie—nie ufał swej broni w tak poważnem spotkaniu. Były leśniczy, czerpiąc ze swego długoletniego doświadczenia, przedstawiał, iż odyniec może ujść flanką, posłałem go tam, dając naboje, by strzelił na postrach. Sumiennie się wywiązał ze swego zadania, napełniając w nierównych odstępach las hukiem, a serca mych nieświadomych towarzyszy miłą emocją. Lecz dzik znikł bez śladu. Otóż to polowanie na czarnej stopie!

Nazajutrz Münter, jak gdyby przeczuwał, że jego dzień nadszedł, zostawił śrut w domu, a uzbroił się w podwójny Mannlicher 8,2 mm., wyborny wyrób Springera o lufach wybitnie krótkich, a więc dających składność niezwykłą. Fastowa była miotem pierwszym; postawiłem Müntera na stanowisku, na którem w roku ubiegłym padł piękny odyniec, a w poniedziałek Józio zabił wycinka. Już miotu większa część była przepędzona, gdy rozległy się dwa strzały Müntera, nie szybkie, gorączkowe, lecz widocznie mierzone strzały panującego nad sobą strzelca. Gdy pełen ciekawości ku niemu schodziłem, wskazał na jar na ukos od siebie „tam musi leżeć“. Bez trudu znaleźliśmy wśród krzaczków odyńca, niewielkiego, bo wagi 105 kg., lecz niemłodego już. Strzelony był na jakie 60 kroków, ale i kule były takie, że lepsze być nie mogły, obie w komorze, jedna przy drugiej. Gość mój odwrócił się z policzkami zarumienionemi, z dłonią wyciągniętą „kochanego Pana... jak ja się cieszę“. I ja się cieszyłem i nawet, gdybym nie był właścicielem tej kniei, która swą powinność spełniła, musiałbym się cieszyć na widok tej radości, musiałbym podziwiać myśliwego, który tak żywo płonący umiał zachować w swem sercu święty znicz myśliwstwa, iż teraz oto aż blask rzucał na jego oblicze. Münter cieszył się tym dzikiem, jak gdyby to był jego pierwszy, a przecież u stóp jego leżał już dwusto trzydziesty i drugi. Oglądając odyńca, zauważyliśmy brak z lewej strony szabli i fajki i stwierdziliśmy, iż były one odstrzelone. Przypomniałem sobie, iż rok temu w tym samym rewirze strzeliłem do dzika na sztych. On w gąszczu we wściekłych podskokach rzucał się przez chwil kilka, potem niepostrzeżony przezemnie, cichutko, bez kropli farby wyniósł się. Było prawdopodobne, iż ta sztuka dzisiaj padła. Uderzyło nas też, że odyniec był zbiedzony i tak świeżemi jak i dawniejszemi bliznami pokryty. Widocznie inne odyńce korzystając z jego umniejszonej zbrojności, dokuczały mu i w czasie huczki przepędzały niemiłosiernie.

Resztę dnia upłynęło w bezbarwności, ale w bezbarwności tylko łupów myśliwskich, bo oto przed nami odgrywała się rzecz wielka—z jednolicie szarego nieba spuszczała się nieustannie szara zasłona z bezliku śnieżnych kryształków utkana — wszystkie te pyłki, atomy śnieżne ku nam zdążały często nieuchwytnem tchnieniem wiatru ze swej kolei wytrącane, koziołkując w nieładzie lub w lekkim pościgu goniąc jeden za drugim — lecz, jakby w ostatniej chwili nastraszyły się zetknięcia z ziemią, tak z każdej po drodze przeszkody korzystały skwapliwie osiadając, już nieruchome, na zwiędłych liściach dębów i grabów, czepiając się natrętnie każdej gałązki, szpilki świerkowej, w każdą nierówność kory się chowając; dzisiaj one wszystkie zaledwie w białe wypustki przyozdobią te drzewa, ale może już jutro, pojutrze brutalną okiścią na nich zaciężą, słabsze gałęzie do ziemi zegną, tyranję zimy wykonując. Więc w trwożnem skupieniu wszystko wokoło przeżywa tę wielką w kalendarzu przyrody datę pierwszego śniegu. W gąszcz umknęły gadatliwe sikorki, poważniejszy od nich gil przestał się odzywać i sojki coś posmutniały. A myśliwy—w podniosłym nastroju radosny—ponowa, nareszcie ponowa. My, którzyśmy mieli jutro opuścić Koropiec, już tylko połowicznie braliśmy udział w pędzonych miotach, dzisiejsze polowanie to przeszłość, myśli nasze niosły nas ku łowom przyszłym, które odbędą się już pod znakiem zimy, białej zimy. *Stefan Badeni.*

Reorganizacja polowań reprezentacyjnych w Białowieży.

Z prawdziwą przykrością czyta polak - myśliwy pamiętnik cara Mikołaja II i z żalem notuje statystykę polowań moskiewskiego satrapy u nas w Polsce.

Nie można dziś, w warunkach tak odmiennych od przedwojennych, marzyć o takich rezultatach i w czasach ostatnich przesileń ekonomicznych budującego się Państwa, w czasach kiedy są ważniejsze i pilniejsze potrzeby stawiać wygórowane pod tym względem żądania i szafując wątłemi siłami starać się dorównać tym, którzy czerpali z nieprzebranych bogactw 180 miljonowego Państwa.

Byłoby również niedorzecznością wymagać, aby zwierzostan Białowieży i Spały, po przejściu tylu nieprawych gospodarzy, mógł w przeciągu tak krótkiego czasu, jaki nas dzieli od ostatniej wojny dorównać liczbowo i jakościowo rokowi 1913.

Badając jednak ilość zwierzyny jaka pozostała na terenach należących do Pana Prezydenta — jej siłę rozrodczą spotęgowaną naturalną obroną przed ostateczną zagładą, napotkamy w przeważnej ilości i prawie wyłącznie na takie sztuki które hodowca myśliwy musi nazwać kapitalnemi.

Nie są to kapitalne, w znaczeniu wieńców i parostków, ponieważ piękność i okazałość tych ozdób zależy między innemi, a w pierwszym rzędzie od wieku sztuki, ale pod względem budowy ciała, pod względem wielkości, siły, wspaniałości,

Mam na myśli tylko Białowieżę, bo o Spalskich kniejach nic powiedzieć nie mogę, gdyż ich nie znam.

Pisałem już raz o projekcie sprowadzenia żubrów do Puszczy, naszkicowałem wtedy fatalny stan stosunków panujących i związanego z tem niebezpieczeństwa dla ostatnich na świecie niedobitków, a teraz podam trochę liczb z ciężkiemi trudami obserwacji własnej zdobytych.

Przypuszczam, że artykuł niniejszy dojdzie do Pana Łowczego Białowieży, a jeśli daleko odbiegłem od prawdy, najuprzejmiej proszę o sprostowanie na łamach „Przeglądu“.

Puszcza posiada 130.000 ha,—a na tym obszarze (w najściślejszym przybliżeniu):

jeleni	120	sztuk
sarn	2.000	„
danieli	10—15	„
dzików	450	„
wilków	10	„
ryś	1	(przechodni)
głuszców	100	(kogutów grających).

A teraz bliższe jeszcze szczegóły, więc stosunek płci, wzrost i inne uwagi.

Jelenie, aczkolwiek bardzo duże i mocne, mogące stanowić świetny materjał hodowlany, bez naglącej potrzeby importu, co zresztą i innej zwierzyny dotyczy, o wieńcach jednak nikłych, dla wyżej wspomnianych powodów — t. j. wskutek nieosiągnięcia odpowiedniego wieku przetrwały ciężką zimę w dobrej kondycji, zawdzięczając wszystko wyłącznie sobie.

Z sarnami — gorzej.

Jeden rogacz przypada na 6 — 7 kóz a gatunek b. okazały, piękny — zbawienne skutki przymieszki obcej krwi (Kaukaz).

Kapitalnych parostków nie tak znów wiele, jakby się zdawało, chyba dlatego tylko, że kozioł nie zdąży się tam rozwinąć, pada przed czasem swego pełnego rozkwitu z rąk kłusowników.

Ubiegła zima zrobiła też kolosalne szkody, jak zresztą i wszędzie gdzie sarna jest pozostawiona bez sztucznej paszy.

Całe szczęście, że łowczy białowieski, przy tej administracji, jaką rozporządza, nie probuje nawet sztucznego karmienia, jak wiadomo bowiem sarna przyzwyczaja się łatwo do miejsca, gdzie jej się pasze zadaje i daleko nie odchodzi przez co jeszcze łatwiej staje się łupem czatującego kłusownika.

Wobec wyjątkowo ciężkiej zimy, długotrwałych mrozów i bardzo głębokich śniegów zginęło już, i jeszcze padnie wiosną 25% ogólnej liczby, — czyli 500 sztuk.

I to kwiat młodzieży, bo ta podlega najłatwiej wszelkim katastrofom.

Daniele – słabo się dość aklimatyzujące nie przedstawiają, zdaniem moim, cennego materjału, a w Puszczy jest ich zaledwie kilkanaście o uratowaniu których myśleć nawet trudno.

Dziki.

Być może, że znajdą się tacy, którzy liczbę podaną przezemnie będą uważali za zbyt nikłą, proszę jednak sprawdzić dokładnie, zmierzyć własnemi krokami dzicze ostępy Puszczy wzdłuż i w poprzek, a z pewnością pogodzimy się w swoich zapatrywaniach.

Rzecz znamienna i charakterystyczna dla tutejszego stanu dzików, że obok niespotykanej nigdzie wielkości okazów, dziwnie mało sztuk słabszych, młodszych.

Zjawisko to należy tłómaczyć nie tyle tajemnicami zagadkowej zawsze dla nas przyrody, co skutkami ręki ludzkiej — ręki kłusownika.

Chłop, nie mający ani odpowiedniej na takie olbrzymy broni, ani kulturalnego zamiłowania do zdobywania cenionych wśród myśliwych trofeów, idąc po drodze najmniejszego oporu zadawala się mięsem, dla którego przecież wyłącznie prawie poluje.

Stąd, jasnem jest, że cały przyrost, cała młódź a także i mniejsze, słabsze sztuki giną z rąk kłusowników — pozostają najtęższe, dla rozwoju których warunki tembardziej stają się sprzyjające.

Rok ten był dla dzików też ciężki — po pierwsze z powodu surowości zimy, a ważniejszą rolę odgrywała tu ilość śniegu, po którym trudno jest brnąć takiemu olbrzymowi na stosunkowo bardzo cienkich nogach się opierającemu, — powtóre z powodu wyjątkowego nieurodzaju żołędzi zeszłej jesieni.

Dziki wędrowały tedy o wiele więcej niż to zwykle czynią, szukając paszy — dlatego też nie można sądzić o liczbie ich, powodując się mnogością tropów.

Jedno i to samo stado, robiło tyle śladów w ciągu nocy, iż mogło przebytemi odległościami łatwo wprowadzić w błąd młodszych obserwatorów.

Stąd właśnie, a nie z innych przyczyn mogą powstać różnice zdań co do podanej przezemnie cyfry.

Dobrodziejstwami swemi nas obdarzająca, wszechpotężna Natura, zachowując cudownie swoje prawa równowagi, ku wielkiemu pożytkowi i szczęściu — skromną tylko ilość gości w Puszczy drapieżników.

Wilki nie przekraczają dziesięciu, a ryś był tego roku zdaje się tylko jeden i to przechodni.

Nie mając odpowiedniego towarzystwa — wyniósł się gdzieś, napewno w Pińszczyznę.

Z jednej strony, z punktu ochrony zwierzyny kulturalnej — zjawisko braku rabusiów b. pożądane, a jednak niechby tam sobie kilka sztuk żyło, dla upiększenia i urozmaicenia pokotu.

Lisów bardzo niewiele, bo czemże się pożywi mykita w tak głębokich lasach, gdzie ostrożnie tylko wodzi się ptactwo, a szarak wogóle się nie trzyma.

Żubr i łoś — należą tylko do przeszłości.

Tyle co do czworonogów.

Aby rozjaśnić zasmuconych, niniejszemi wywodami Szanownych Czytelników i choć na chwilę pozwolić wniknąć w czarujące serce Puszczy, — w niczem niezrównane koncerty wiosny, proszę wyobrazić sobie i wprowadzić się w halucynację głuszcowego toku.

A grać będzie 100 pierzastych królów.

To liczba bardzo ładna, a jeśli się do niej doda jeszcze kury i „krechtuny“ może nam się zdawać, że w zwierzynie dobrze się polakom dzieje.

Ale dosyć.

Nie trzeba za długo się upajać, aby uniknąć w następstwie spotęgowanych kontrastem rozczarowań.

Skończyłem o zwierzynie.

Dla przypomnienia Szanownym Czytelnikom poprzedniej organizacji łowiectwa w Białowieży pozwolę sobie odesłać Ich do Nr. 5 „Przeglądu“.

Ministerstwo R. i D. P. kierując prawdopobnie zmianami wywołanemi sanacją skarbu wydało preliminarz budżetowy na rok 1924, reorganizując temsamem całkowicie dotychczasowy system gospodarki.

Nowy etat przewiduje zaledwie dwa stanowiska ściśle łowieckie — łowczy i strzelec, oprócz tego zaś dwa pomocnicze — woźnica i stróż.

Trzeba wiedzieć, że w zakres obowiązków Pana Łowczego wchodzi konserwacja i instalacja gmachów w Białowieży — pałacu myśliwskiego.

Ponadto do Pana Łowczego należy 6 koni obsługą których jest tylko jeden człowiek, a w razie czego — pozostaje stróż.

Całoroczny budżet, do którego wchodzą wspomniane sumy na instalacje, konserwacje, pensje, utrzymanie koni reprezentacyjnych, sumy na ochronę zwierzostanu, obławy, siatki, sznury, karmienie, wartość przynależnego administracji i oficjastom opału wynosi 14.034 Złp., a wykaz kredytów na kwartał I-szy b. r. (w tysiącach marek) na ochronę zwierzostanu przyznaje 761.400, na konserwację i instalacje 365.950.

Cyfry, chyba same za siebie już mówią i niepotrzeba będzie długo czekać, abyśmy się przekonali, że Pan Prezydent Wojciechowski wraz z dostojnemi gośćmi przestanie polować wskutek braku zwierzyny.

Uzdrowienie stosunków jakie panowały za poprzedniego Naczelnika Z. O. L. P. w Białowieży o których tyle razy pisała „Myśl Niepodległa“ nieda się przeprowadzić tak szybko przy najlepszych nawet chęciach i talencie nowego szefa, jakby się tego niektórzy spodziewali.

Za dużo się psuło, aby zaraz oczekiwać skutecznej naprawy i nie można znów wymagać „cudu na Narewką“.

Wobec nowego budżetu, z konieczności, powołano do służby łowieckiej administrację i służbę leśną, która obok swych fachowych zadań ma pełnić funkcje powierzone jej przez Pana Łowczego.

Z kolei, Pan Łowczy, będzie podlegać Panu Naczelnikowi i z nim w kontakcie pracować.

Zdaje się napozór, że bardziej ekonomicznego planu M. R. i D. P. obmyśleć nie mogło i tak, teoretycznie rzecz biorąc, jest w rzeczywistości.

Ale, jak to wszędzie — na przeszkodzie stoi nieubłagane życie — wyjątki z teorji a raczej odwrotnie, teorja jest w tym wypadku wyjątkiem w życiu.

Kto ze znających stosunki puszczy zaprzeczy że gajowi wogóle i w szczególności są urodzonem wnykarzami, sidlarzami i kłusownikami.

Dla takiego — nic świętego.

A proszę skontrolować strzały takiego pana na przestrzeni 130.000 — co gorsza, proszę zaręczyć, że nie kłusują nadgajowi, podleśniczowie, leśniczowie, a nawet nadleśni.

Chwała Bogu — chociaż powoli, ale dźwigamy się ku lepszemu, już niektórzy z tych panów, dzięki gościnności urzędu prokuratorskiego znaleźli się na właściwem miejscu, być może, że dla innych będzie przestrogą, a jeśli nie, to niechże ich naśladują, jaknajprędzej w translokacji.

Z pewnością, cieszący się bardzo pochlebnemi opinjami Pan Naczelnik, jak również i wielce praktyczny, a fachowy Pan Łowczy dołożą trudów i starań, aby ująć w silne i szczerze polskie dłonie ster gospodarstwa, ale nim słońce... i t. d.

Wierzę w to, iż jestem skrajnym pesymistą, ale zawsze to przyjemniej oczekiwać na miłe niespodzianki niż trapić się trucizną gorzkich rozczarowań.

Niewiem, jakbym sam sobie dawał radę, będąc na miejscu Pana Łowczego, ale w każdym razie przy tych subsydjach, a najlepszych nawet chęciach nie podjąłbym się utrzymać niszczoną wszelkiemi sposobami przez wroga wewnętrznego, jeśli tak gajowych nazwać można, zwierzynę.

A gdyby tak można było przekonać słowami wszystkich tych, którzy do upadku polowań reprezentacyjnych naszej Głowy Państwa się przyczyniają, gdyby można im było wytłomaczyć w jakiś trafiający do nich sposób, że po czterech, pięciu latach wstrzemięźliwości myśliwskiej dozwolony im będzie odstrzał, a wreszcie i polowanie w specjalnych rewirach, to zdaje się byłby najzbawienniejszy środek reorganizacyjny.

Ale — co to mówić!

A gdyby... *Jerzy Dylewski.*

Grodno 1/4 1924 r.

Polowanie z puhaczem z budki i szałasu.

(*Dalszy ciąg*).

Ostrzeżenie przed zatruciem ołowiem uważam za bajkę; widziałem wiele puhaczów, które były stale żywione zwierzyną strzelaną śrótem i które żyły i dosięgły późnego wieku. Przy żywieniu ptakami powinno się naprzód odciąć skrzydła, a przedewszystkiem nogi. Znam wypadek, wskutek którego zdechł puhacz, ponieważ zranił sobie podniebienie o pazur, rozrywanego przez siebie myszołowa. *Mięso wędzone i peklowane działa wprost zabijająco.*

Nie radzę trzymać dwóch puhaczy w jednej klatce, słyszałem iż z 2 ch w jednej klatce umieszczonych puhaczów silny pokonał słabego i rozerwał go. Bardzo zaleca się dawać puhaczowi często małe łakocie w formie kawałeczka mięsa, myszki, wróbla i t. p. i to dawać z ręki. To obłaskawia ptaka, który przy dobrem obchodzeniu się z nim, przyzwyczaja się do człowieka, jak każde inne zwierzę, powiedzmy tutaj jak pies do myśliwego. Trzeba się względem niego zachować ze spokojem i pewnością; pozwala sobie bardzo chętnie drapać głowę, przyczem należy przemawiać do niego przyjaźnie i wyciągać tylko dłoń, ażeby nie mógł uchwycić dziobem palca. Szponów, powinno się wystrzegać, gdyż chwyta nimi bardzo silnie i jeżeli natrafi na arterję, to sprawa może się stać niebezpieczną. Jeżeli więc chce go się schwycić należy się zaopatrzyć w twarde skórzane rękawiczki. Nigdy nie należy chwytać za skrzydła, lecz zawsze za nogi, przyczem prawą ręką chwyta się odważnie i pewno za nogi powyżej szponów, bierze się ptaka ostożnie pod lewe ramię, obejmując nogi lewą ręką i wtedy zakłada mu się pęto na prawą nogę. Skoro pęto jest założone, to puhacz może go mieć bez szkody dla swego zdrowia. Do transportowania puhacza do szałasu i z szałasu najlepiej używać koszyka 50 cm. wysokości, 30 cm. w kwadracie, który jest z góry zamknięty i którego jedna strona przez zatyczkę formuje drzwiczki. Dno tego koszyka pokrywa się kawałkiem grubej papy dla utrzymania czystości i ażeby puhacz nie wczepił pazurów w plecionkę koszyka. Jak tylko wepchnie się puhacza w ten koszyk transportowy należy uważać, ażeby część pęta, służąca do umocowania do grzędy wystawała z pod drzwiczek kosza. Kiedy puhacz ma być posadzony na grzędę umacnia się naprzód zapinkę naokoło grzędy, następnie otwiera drzwiczki i odciąga z pod puhacza koszyk, poczem ten po krótkiej tresurze chwyta się grzędy. Z młodemi puhaczami trzeba sobie zadać trud, ptaka często jeszcze (przyczepionego) wiszącego na słupku podnieść przy pomocy obydwóch rąk z całym spokojem i cierpliwością wołając „na górę“, „na grzędę“; ptak przyzwyczaja się bardzo prędko do tego, żeby to samemu zrobić i na zawołanie „na górę“ spełnić rozkaz. Zdejmowanie z grzędy odbywa się w odwrotnym porządku kolei w stosunku do posadzenia na grzędzie, mianowicie trzyma się przed puhaczem koszyk, w którym on wkrótce z własnego popędu znika, następnie zamyka się drzwiczki i odwiązuje pęta od barjerki. Nie trzeba zaniedbywać zatyczki, która najlepiej powinna być sznurkiem przymocowana do koszyka, gdyż umknąć w przeciwnym razie mógłby puhacz, który posiada dobre skrzydła.

Co się tyczy pęt, to pęto składa się z łatwo obracającego się kołowrotka, do którego dwóch kółek są silnie i na stałe przyszyte rzemienie około 10 cm. długości ze sprzączkami. Do wierzchniej części każdej ze sprzączek są znów silnie przyszyte rzemienie jeden do przytroczenia do grzędy, drugi z bardzo miękkiej skóry do opasania prawej nogi puhacza. Jest bardzo ważną rzeczą odpowiednia konstrukcja i odpowiednie ustawienie tej grzędy. Miejsce grzędy powinno być oddalone o 25 — 30 kroków od otworu strzałowego szałasu, o ile można powinna być grzęda trochę w wyższym miejscu, niż szałas. Ustawienie powinno być regulowane z szałasu. Składowe części tego, tak zwanego palika wabiącego (grzędy) są: 1) łuszczka, 2) podstawa, 3) rolki z zatyczkami, 4) linka. Łuszczka składa się z 4-ch (każda 1,60 metra) długich jedna do drugiej przybitych desek szerokości 10 do 12 cm. W boku jednej z desek około 2 cm. od góry wycięty jest 3 cm. szeroki i 8 cm. długi otwór, po obydwóch stronach otworu umocowane są kółka (uszka) metalowe, w dolnej części pokrywki jest przybite wycięcie. Do otworu i wycięcia wkłada się zrobione przez tokarza rolki, kółka (uszka) są przymocowane na osi. Do dolnej części słupka dopasowany jest czworograniasty czop, który pasuje również do otworku w słupie. Podpora składa się z sosnowej tyczki 1 metr długości i 3—4 cm. grubości z poprzecznym drążkiem 15 — 17 cm. i grubości 5 — 6 cm., który bardzo silnie powinien być przymocowany do tyczki. 10—12 cm. powyżej poprzecznego drążka znajduje się drewniany talerz 9—10 cm. średnicy, który od dołu wyłożony jest wojłokiem; w dolnej części tyczki znajduje się żelazne uszko, przez które przechodzi cieniutka linka. Tę podporę wstawia się z góry w pokrywkę, sznurek (linkę) przeciąga się nad wyższą rolką i pod niższą i potem w odległości około 1 metra od słupka robi się pętlę. W tę petlę zadzierzga się grubszą linkę, którą przez otwór do

strzelania wprowadza się do szałasu i tam przywiązuje się do poprzecznego drążka. Przy nierównej powierzchni gruntu zaleca się przymocowanie tej linki jeszcze za pomocą jednej lub 2-ch rolek. Jeżeli pociągnąć z szałasu linkę to podstawka podnosi się z przykrywki, a o ile się puści, wtedy podstawka opada. Te czynności nazywają się „wabieniem“. Należy jednak stosować to z ostrożnością, gdyż nie każdy drapieżny ptak znosi to.

Wiele ptaków szczególnie jeżeli już zobaczyły puhacza, zostają przez to spłoszone. Szczególnie zdarza sią ten wypadek u kani i szlachetniejszej rasy sokołów. Inne zaś ptaki jak myszołowy, mniejsze sokoły, jastrzębie i wszystkie wrony rzucają się przy wabieniu z wielką gwałtownością. Dla przenośnego szałasu używa się pala długości $1^1/_2$ metra; pal ten ma u góry otwór, w któren wkłada się podpora za pomocą żelaznego czopka i umacnia się przez zatyczkę. Niektórzy używają do polowania wolno latającego puhacza, przy pomocy którego osiągają bardzo dobre rezultaty. Pozwala się puhaczowi na wolne ruchy, trzymając go na drucie długości około 20—30 cm. Widziałem puhacza, który jest bardzo łaskawy i dobrze tresowany, kiedy się wyjdzie z szałasu i zawoła „na górę“ natychmiast siada na talerzu podpory. Z doświadczenia mogę powiedzieć, że widok myśliwego zupełnie nie płoszy znajdujących się w bliskości ptaków drapieżnych, przeciwnie gdy on się schowa myślą sobie rozbójnicy „teraz już go niema a więc można się rzucić“. Nakoniec trzeba dodać, że zamiast puhacza, można używać każdego innego większego drapieżnika. Ja naprzykład zabiłem swojego czasu wiele drapieżnych ptaków i wron przy pomocy myszołowa, mogą być w tym celu używane także i sowy. Według mego zdania powinna się nadawać znakomicie do polowania szałasowego sowa śnieżka (Strix nivea). Jest ona prawie tak silna jak puhacz, a napewno odporniejsza na choroby, jak wszystkie zwierzęta z dalekiej północy. Według Riesenthala spotkać ją można niekiedy w wielkich stadach, to samo tyczy się i sowy błotnej; można je łowić w potrzaski.

(D. c. n.). *Zygmunt Kubicki.*

Na dropie.

(Ze wspomnień myśliwego w stepach Noworosyjskich w 70-tych latach przeszłego stulecia).

Dawno już minęły te czasy kiedy niezmierzone stepy Noworosyjskie południowo-zachodniej Rosji, stanowiły w większości swej nietknięte pługiem obszary stepu, zwane „culinami“ na których wypasały się stada bydła, koni i miljony owiec. W zaroślach i szuwarach kryły się wilki i lisy, a otwarte stepy roiły się od zajęcy, dropi, strepetów, kuropatw, przepiórek. W sitowiach i błotach (pławniach) przy ujściu Dniepru, Bohu, Dniestru gnieździła się olbrzymia ilość wodnego i błotnego ptactwa. Do takiego raju myśliwskiego zagnały mnie losy w połowie siódmego dziesiątka zeszłego stulecia. Jako zapalony myśliwy, zostałem członkiem Noworosyjskiego Towarzystwa Myśliwskiego, z członkami którego uczestniczyłem w urządzanych myśliwskich wyprawach. Polowania z chartami, ogarami, z naganką, nie różnią się od naszych, lecz były urządzane na większą skalę, zupełnie za to odrębne było polowanie na dropie z zasłonkami. Takie polowania zapewne większości naszych myśliwych nie są znane, a ponieważ przyjmowałem udział w kilku tego rodzaju wyprawach podaję opis jak się odbywały.

Jak to bez pomocy Guzika rozprawiliśmy się z duchami.

W zacisznym dworku dąbrowieckim od pewnego czasu co noc niepokoiły nas dziwne z pod ziemi dochodzące odgłosy. Zaledwieśmy się do snu ułożyli, rozpoczynała się piekielna pod podłogą wrzawa. Chrapliwe naszczekiwania, stękanie, zdławione jakieś charczenie, nagły wrzask, to znów łoskot, jakby sypanych z wozu kamieni. Z nastaniem brzasku wszystko cichło. Nie mogliśmy dojść jakiego to rodzaju szkodniki spokój nam zakłócają. Pewnem tylko było że ani szczury, a tem mniej myszy takich głosów nie wydają. Służba oczywiście kategorycznie zawyrokowała, że nie co innego, a złe „przeszkadza“ i że stróż Walenty chce z nami o tem pomówić. Jakoż po chwili zjawił się poczciwiec mocno zafrasowany i niepewnym głosem rozpoczął przemowę: „Bo to doprosom sie łaski Wielmoznych Państwa zeby me kole domu strózować nie kazali. Juźcić nie zeby sie człowiek bojał, ale godziłem sie ino bronić pańskiego od złodzieja, a juz z tem paskudnem, co to i mówić o niem brzydko to... psia jego... niechta sie inne z niem tarapiom. Juz i w Grodzisku ludzie gadajom ze u nas po nocach strasy. Takeśwa wszystkie uredzili zeby Wielmozne Państwo tego Guzika sobie sprowadzili, co to we Warsiawie śpirytusem sie zajmuje. Zmyślna to musi być jucha kiej se tak wykarkułował, ze te grzesne ludziska, co po śmierci odpustu bozego nie dostompiły, pewnikiem okrutnie pocieszenia potrzebujom. Tak zwąchał ci mondrala, ze na śpirytus to i z samego piekła umarlaki złazić sie bedom, a ze

W jesieni, kiedy dropie łączą się już w stada, do upatrzonego w stepie na żerowisku stada dropi, na drabiniastych wozach zaprzężonych wołami (obowiązkowo), podjeżdżało kilkunastu myśliwych zaopatrzonych w zasłonkę, raczej parawanik w formie trójkąta zrobionego z płótna w ramach z deseczek wysokości wyżej metra; na płótnie były namalowane krzaczki, kłosy i t. p. Wóz jechał b. wolno w odległości kilkuset kroków od dropi, aby nie zwrócić ich uwagi. Myśliwi pojedyńczo zsuwali się wraz z zasłonkami (z przeciwległej strony wozu od dropi) za któremi siadali zachowując spokój. W ten sposób stado dropi obstawiało się w półkole. Po rozstawieniu myśliwych wozy odjeżdżały, aby z przeciwległej strony zbliżać się powoli do dropi i zmuszać je do zmiany stanowiska w kierunku ukrytych myśliwych. Manipulacje te należało wykonywać b. ostrożnie, aby dropie nie poderwały się, a uchodziły piechotą. To też wozy musiały się posuwać b. wolno, zatrzymywać, coś poprawiać. W ten sposób manipulując wozami, zmuszało się dropie do ciągłego zbliżania się w stronę myśliwych. Gdy dropie przybliżyły się do skrytych za parawanikami myśliwych na kilkanaście kroków, najbliżsi strzelali, najpierw do dalej znajdujących się, ale do takich, do których strzały były pewne, a następnie do najbliższych a to dlatego że dropie zrywają się bardzo ciężko i muszą przed poderwaniem się biec kilkanaście kroków, co daje możność myśliwemu dania jeszcze dwóch strzałów do tych, co były bliżej.

W takim zakładzie b. często padało kilkanaście sztuk.

Następnie w ten sam sposób osaczano w innej części stepu inne stado.

Lecz bywały wypadki, że po paru dniach polowania, trafiało się na już płoszone dropie, wtedy nic nie pomagały ostrożności, stado nie dopuszczało myśliwych nawet na kilkaset kroków i zrywało się do lotu. Wtedy trzeba było szukać stada jeszcze niepłoszonego. Takie polowania odbywały się aż do b. późnej jesieni.

J. Januszewski.

Z ruchu wydawniczego.

„Z łowisk wielkopolskich".

Ks. Ludwik Niedbał.—(Nakładem księgarni św. Wojciecha w Poznaniu).

W wiosennej kniei, w upalnem lecie, w cudnej polskiej jesieni i wśród śniegów i mrozów wiedzie swoją piękną opowieść ksiądz Niedbał. Poczyna ją od owych chwil gdy „jakaś tęsknota tajemnicza, a potężna ogarnia przyrodę", gdy czas ciągu owłada duszą łowcy.

I mówi nam myśliwy — poeta o uroku toków trubadura puszczy, głuszca i o tej chwili „co robi człowieka lepszym" gdy cenne trofeum leży u stóp myśliwego, który ma wówczas „słońce w piersiach i wielkie szczęście w duszy".

A dalej opowiada ks. Niedbał o rycerskich cietrzewiach błękitnopiórych z cudnemi różami sterczącemi jak hełm herbowy i podziwia, że „tak bardzo mało ludzi ma sposobność albo korzysta z niej, aby patrzeć w tajniki przyrody i zachwycać się cudami dzieł Bożych".

W opowieści „Kniaź leśny" przepięknie opisuje nam autor podchód kozła „w pierwszych promieniach wschodzącego słońca", a wreszcie pracę wyżła za tropem i najroskoszniejszą muzykę gdy „najpierw dorywczo potem częściej, w końcu raz—wraz wyżeł głębokim głosem wydzwania zgon koronowanego władcy kniei".

Opis łowów letnich poczyna się „nad brzegiem wód" polowaniem na ptactwo błotne.

„Warunki utrudniające polowanie wodne" robi słuszną uwagę autor „są znakomitym środkiem, który na długo jeszcze zachowa ten rodzaj łowiectwa od intruzów, nie mających z prawidłowem myślistwem nic wspólnego".

„W suchym polu" ks. Niedbał, znakomity znawca psa myśliwskiego, śpiewa hymn pochwalny na cześć tego najwierniejszego towarzysza rozkoszy łowieckich. „Bez wyżła polować na kury to zupełnie tak,

---

mu różne hrabiowie podobno dobrze za to płacom, to se i galancie zarabia".

Pogawędziliśmy jeszcze o tem i owem, starając się wyperswadować staremu, żeby się wyzbył strachu a głupim gadaniom nie dawał wiary. Na pożegnanie uraczyliśmy go kieliszkiem czystej, która to najskuteczniej czarne myśli rozproszyła.

Przechadzając się dnia tego po ogrodzie, szczerze ubawieni niedawną rozmową i owem całkiem nowem ujęciem zagadnień spirytyzmu, snuliśmy na ten temat dalsze refleksje, dochodząc do wniosku, że jednak w Polsce sława takich Guzików przedziwnie szybko pod strzechy dociera. Wesoło gawędząc, zbliżaliśmy się ku domowi, gdy nagle, towarzyszący nam, wierny wyżeł As, zaciął się przy kępie krzaków i twardo stanął. O parę kroków przed nim ujrzeliśmy leżącego zająca ze łbem wkopanym w ziemię. Gdyśmy go podnieśli, okazało się że jeszcze ciepły, a łeb ma całkowicie obgryziony. Typowa to była sprawka kuny kamionki.

Teraz już wiedzieliśmy napewno co nam po nocach spać nie daje. Zaraz też nazajutrz zrana sprowadziło się żelaza i odtąd co dnia prawie ze wschodem słońca wrzask przeraźliwy zwiastował nam, że znów o jednego ducha mniej pod podłogą.

Rezultatem owych łowów była śliczna etolka z 8 miu kunich skór zrobiona a i radość ogólna, żeśmy bez Guzika sami sobie jakoś poradzili.

Jeden tylko stary Walenty pominął zupełnem milczeniem cały epilog tej sprawy; a gdym mu kiedyś, żartując, etolę pokazała, spojrzał z niedowierzaniem i mruknął pod nosem: „Psia jego..., a kto ich ta wi".

Marja Ejsmondowa.

jakby jechać okrętem bez steru, rzeźbić bez dłóta lub wbijać gwóździe pięścią", — pisze na wstępie autor, dalej zaś głosi: „Powiedz mi jaki twój wyżeł, a ja ci powiem, jaki z ciebie myśliwy".

Następnie daje nam ks. Niedbał krótką historję broni.

„W cudnej polskiej jesieni" spotykamy „potentatów lasu" jelenia i dzika. Wśród jałowców, mchów i wrzosów rysuje nam autor „proletarjat kniei", szare chochliki leśne, „włochate bekasy"—króliki. Nakoniec zaś spotykamy gości zamorskich—złotopióre bażanty.

„Wśród śniegów i mrozów" maluje nam ks. Niedbał czar tropów na białym śnieżnym kobiercu, który zda się księgą zapisaną pismem klinowem, niezrozumiałem dla niewtajemniczonych. Myśliwy czyta w niej o życiu, jakie panuje w łowisku". Autor daje nam opis polowania na zające. A dalej mówi o „niebezpiecznych rabusiach".

Rozdział ten stwierdza nawskroś nowoczesne poglądy ks. Niedbała na zagadnienia łowiectwa i na ściśle z nim związane zagadnienie ochrony przyrody. „Mało jest stworzeń bezwzględnie szkodliwych", pisze autor „i większość ich mimo szkód wyrządzonych jest człowiekowi zarazem użyteczną. Zupełne wytępienie drapieżników fatalnie odbiłoby się na samej zwierzynie: sprzątając bowiem padlinę, tłukąc zarażone, chorowite i padłe sztuki, łatwiej dostępne, drapieżniki przyczyniają się w znacznej mierze do utrzymania zdrowotności zwierzyny i do wygaśniecia śród niej grasujących zaraz; pełnią niejako urząd policji sanitarnej w łowisku i stanowią poważny czynnik selekcyjny".

Każdy myśliwy słowa te powinien głęboko przemyśleć. Stosunek do zwierząt „szkodliwych" jest świadectwem „nowoczesności" łowieckich poglądów Ks. Niedbała który zaleca „nie dopuścić do nadmiernej rozmnoży drapieżników ze szkodą dla zwierzyny, ale też nie wytępiać ich ślepo — także ze szkodą dla zwierzyny".

Dzieło ks. Niedbała bardzo pięknie ilustrowane, bardzo wysoko stojące pod względem etyki myśliwskiej, poza treścią anegdotyczną i dydaktyczną posiada dużą wartość, jako udana próba zestawienia łowieckich spostrzeżeń pewnej dzielnicy kraju. Jest ono pozatem cennym pomnikiem języka myśliwskiego.

Juljan Ejsmond.

WOLNA TRYBUNA.

Sprawozdania z polowań.

Do kroniki sensacyjnej należą wiadomości podawane w pismach łowieckich o odbytych w różnych łowiskach polowaniach z obławą, — bo nie jest że to sensacja, jeżeli się czyta, iż dwudziestu nemrodów w N. C. zabiło aż 11 zajęcy, a prawdziwym skandalem, gdy się odczytuje prośbę „o przypomnienie pp. restauratorom, że podawanie gościom w obecnym czasie (styczniu) kuropatw jest niezgodne z prawem, więc też kuropatwy zjadane w jadłodajniach pochodzić mogą tylko od kłusowników".

W innym miejscu kroniki czyta się znowu, nie mówiąc jeszcze o zawsze zabitych w grudniu i styczniu kozłach, iż urządzono tu i owdzie wieczorki, które po tej batalji „każdemu z uczestników zostaną w długiej pamięci". Postawmy rzecz jasno i otwarcie: na takie sprzeczności, kompromitujace pojęcia o etyce, na takie komunikaty — nie wątpię o tem, w poczciwej intencji ogłaszane, — szkoda miejsca w naszych bezsprzecznie poważnie pojmujących zadanie swoje pismach łowieckich.

Cóż pomyślą o nas cudzoziemcy, czytając takie kroniki o naszej hodowli zwierzyny i kulturze? Cóż czytelnika z pod Pucka lub Kościerzyny obchodzić może, iż pod Żabiem zabił pan Iks w pięknej dublecie dwa odyńce, gdy tam na Kaszubach w 15 strzelb zabito aż 16 zajęcy, a królem polowania był pan Ypsylon, który miał na rozkładzie nawet 3 zające.

O zaprowadzenie kroniki odstrzału w podobnej formie udawano się do mnie w czasie dziesięcioletniej redakcji „Łowca Wielkopolskiego", kilkakrotnie odmawiałem i to z następnjącem uzasadnieniem:

Relacje i komunikaty w pobieżnej formie przez okolicznościowych uczestników bono captivam benevolentiam „gościnnych gospodarzy" napisane, statystycznie żadnej, kronikarsko małą tylko mają wartość. Nie zamieszcza ich też żadne pismo zagraniczne. Bo cóż miałoby za cel praktyczny, jedynie chyba stwierdzenie, że anno Domini 1924 były jeszcze w Karpatach dziki, a na Kaszubach zające.

Sprawozdania z polowań muszą mieć niewątpliwie takie samo znaczenie dla hodowli zwierzyny, jakie mają sprawozdania o stanie powietrza dla zapoznania się z klimatem odnośnego kraju. Cóżby miały za wartość referaty stacji meteorologicznych, gdyby np. donosiły, iż w Warszawie, dnia tego i tego była piękna pogoda, z której korzystajac publiczność odwiedzała tłumnie pobliskie miejscowości wycieczkowe, — albo: cały dzień deszcz padał, skutkiem czego kawiarnie i teatry były przepełnione. Jak do sprawozdań meteorologicznych potrzeba miernika temperatury, kierunku wiatru, ciśnienia aneroidu i ilości opadów w milimetrach, tak do sprawozdań myśliwskich należy ilość nie tylko rozkładu, ale przedewszystkiem ilość opolowanych mórg, wreszcie wpływy klimatyczne w czasie lęgu, parkotu i t. p. Sam rozkład t. j. ilość zabitych podczas polowania zajęcy, ma z powodu tak b. rozmaitej kwalifikacji strzelców tylko podrzędne znaczenie statystyczne. Przyzna bowiem każdy, iż jeżeli na tym samym polowaniu, jeden myśliwy 45 nabojami zabije 42 zające, a inny — jak to się także na zeszłorocznych polowaniach zdarzyło, — przy 88 strzałach 2 szaraki, to trudno doprawdy mówić tu o statystyce na rozkładzie. Najlepsi hodowcy, najzawołańsi myśliwi nie ogłaszają też sprawozdań o odbytych u siebie polowaniach, gdyż urządzają je w tajemnicy, przed tymi t. np. myśliwymi, których z różnych, przedewszystkiem utylitarnych względów pominąć przy zaproszeniu wypada, a ze względów prawidłowego łowiectwa zaprosić nie należy. Ci oczywiście, ze zrozumiałych

względów wolą się z osiągniętych rozkładów po pismach nie reklamować.

Cóż więc są warte ogłoszenia o odbytych polowaniach w kotły i „z miseczką“, które Niemiec nazywa „Schüsselljagden“, gdy z najlepszych łowisk się ich nie podaje. Należy więc szukać innych sposobów do stastystyki.

Przy liczeniu jeleni, dzików, sarn, posługuje się straż leśna stwierdzeniem w czasie nowej ilości tropów przeszłej z jednego ostępu w drugi różnych gatunków zwierzyny. Każdy z leśniczych liczy ile z jego do sąsiedniego ostępu sztuk przeszło, Wszystkie tropy zliczone, po odciągnięciu wyszłych dają ilość znajdującej się w rewirze zwierzyny, — Zajęcy oczywiście przy ich ruchliwości nocnej w ten sposób obliczać nie można i w tym celu najlepiej też nadaje się polowanie z obławą, ale miarodajną byłaby ilość znajdujących się na odnośnym terytorjum zajęcy, tylko wtedy, gdyby obok rozkładu liczono i przerywające t. j. uszłe z obławy sztuki. Przy kotłach bardzo to łatwe, a przy leśnych nagankach i ławach czeskich także wykonalne W kotłach każdy z myśliwych, obok przez siebie zabitych liczyć będzie i przeszłe poza koło zające. Przy nagankach myśliwi i wyznaczeni ku temu obławnicy bez strzału wychodzące sztuki liczą i kierownikowi polowania podają.

Sprawozdania takie, jeżeli się je zbiera w celach statystyki i hodowli, a nie dla zaspokojenia ciekawości i wzbudzenia sensacji, są bardzo pożyteczne, ale tym zająć się powinny nie redakcje, lecz Towarzystwa resp. specjalni przez Towarzystwa mianowani delegaci, — a sprawozdania ich według powiatów w pismach fachowych ogłoszone być powinny. — To jedynie właściwa a pożyteczna droga zbierania informacji o stanie zwierzyny w naszym kraju. I w tej formie, jako jedynie odpowiedniej, — zająć się powinna Centrala Zrzeszeń Myśliwskich, mniejsza z tym, która z dwuch istniejących (niestety!). Ta, która to dokona, całą Rzeczpospolitą zorganizuje odda największe załugi i poniesie największy sukces w podniesieniu naszego myśliwstwa.

Wiem z doświadczenia, iż pismom ze względów finansowych, trudno będzie tak à tout prix pozbyć się rubryki, która bądź co bądź wywiera pewną atrakcję na słabostki ludzkie, na tych, którzy się chętnie widzą „wydrukowanymi“. Możnaby więc użyć drogi pośredniej. Rozmaite tygodniki niemieckie, z praktycznością narodowi temu właściwą, urządziły oddział w pismach na ostatnich stronach, w którym wśród i obok anonsów zamieszczają rebusy, kąciki humorystyczne wprawdzie ciekawe, lecz podrzędną tylko wartość mające wiadomości. Podnosi to znaczenie anonsów, bo zmusza czytelnika do niepominięcia i przejrzenia reklamy, a jednocześnie usunie tak bardzo zły zwyczaj w niektórych pismach praktykowany zamieszczania wśród tekstu anonsów niemających nieraz nic wspólnego z myśliwstwem.

Oczywiście jacy są czytelnicy i jakie ich wymagania, takie i pisma... Uwagi swoje podaję więc ogółowi inteligentnego myśliwstwa ku rozwadze, ku naprawie tak jeszcze bardzo nieustalonych pojęć, co godne lub nie publikacji. — Gdybym nie usłyszał przychylnego odgłosu, — przypuścić musiałbym, — iż znalazłem się w położeniu z gawędy Syrokomli znanego Imci pana Filipa z Konopi, t. j., iż reformy takie zaprowadzić u nas jeszcze mocno zawcześnie.

Wł. Janta-Połczyński.

DZIK.

(*Dalszy ciąg*).

Naówczas gdy w zagajniku ozwały się krzyki naganki i ujadanie psów i gdy cała uwaga myśliwych skierowana była na rzekomego dzika w zajęczej postaci, wtedy prawdziwy dzik zbudził się ze snu słodkiego w chłodnem błotku wśród wysokiego sitowia, otworzył szeroko bystre swe oczy i chrząknął, jakby pytając: „Co tam?“ Wrzawa go zaniepokoiła. Nadstawił kosmatych uszów i podniósł szeroki kark z potężnym łbem, wcieleniem nieubłaganej siły i zuchwalstwa.

Stary odyniec słyszał już nieraz podobne krzyki obławników i szczekanie dokuczliwej psiarni. Wiedział, co odgłosy te znaczą, fuknął nierad z przerwanego spoczynku, zerwał się z legowiska, potrząsnął łbem groźnym w zbrojne zakrzywione szable i nie śpiesząc zbytnio, ruszył przez zarośla i zboża w stronę dużego lasu.

Pułkownik obrał stanowisko na prawem skrzydle strzelców, gdzie jednocześnie czuwał nad przebiegiem polowania. Niestety drzewa zagajnika, wysokie zboża i krzewy nad rowem zasłaniały mu teren. Orjentował się więcej słuchem niż wzrokiem.

Szczekanie psów i szybka ucieczka zwierza przez pole wydały się panu Romualdowi bardzo podejrzane, kiwnął więc ręką na stojącego w pobliżu swego konnego adjutanta.

— Panie Swiderski, psy ruszyły pewnie lisa albo zająca, jedź pan zaraz na lewe skrzydło, trzeba te szelmy zawrócić i uciszyć.

— Wedle rozkazu! — odparł młody człowiek niby wojak z trylogji Sienkiewicza, podciął konia i popędził za linją strzelców we wskazaną stronę.

Tymczasem zając wraz ze swymi prześladowcami był już niedaleko od bijącego pokłony rewizora, miał moment krytyczny: czuł psie oddechy na swej turzycy, gdy wtem napotkał skośnie idący przegon, wolny od źdźbeł zbożowych, więc skręcił w bok, minął niewidziany stanowisko rewizora, minął

Uchańskiego i dopiero o kilka kroków za Grzmotnickim wypadł z żyta, dał potężnego susa przez rów i zniknął w bujnych łanach pod lasem. Psy, o parę kroków odbite od szaraka jego nagłym zwrotem, szły wciąż gromadnie, prowadzone przez Zagraja.

Grzmotnicki na widok zająca i psów zawrzał gniewem. Skoczył ku psiej czeredzie, usiłując ją rozpędzić, lecz psy nie dały zbić się z tropu. Za przykładem Zagraja przebyły rów i w rozsypce pognały ku lasowi. Grzmotnicki sklął psy i huknął tubalnie dosadną reprymendę nadjeżdżającemu Wichrowskiemu, który nareszcie pojął swoją omyłkę, skręcił na miejscu koniem i wrócił jak niepyszny ku nagance.

Nastała chwila ciszy na linji strzelców.

Rewizor odetchnął z ulgą, gdy zrozumiał, że potwór biegnący na niego zakręca szumnie swem cielskiem w żytach i wymija go, jakby w karnem przeczuciu, iż tam stoi carski urzędnik, na którego nie wolno czynić terorystycznych zamachów. Stakanczyk uczuł, że w rękach i nogach powraca mu dawna władza, a w duszy rodzi się pogarda dla tchórzliwego odyńca.

— Uszoł swołocz—mruknął z głębokiem przekonaniem o swej sile.

Rewizor słyszał potem jakieś wymyślania rządcy, dowodziło to zapewne, że dzik poszedł bokiem bez wystrzału, że polowanie narazie skończone i miot wypadnie powtórzyć na innym terenie.

Nabrał w płuca powietrza wonnego od mięty i macierzanki, wsparł się na strzelbie i rozejrzał dokoła.

Naraz posłyszał szelest kłosów. O dziesięć może kroków w stronie prawego skrzydła rozsunęło się żyto, a z niego wychylił się straszny czarny łeb, porosły długą szczeciną, oblepioną żywicą i błotem. Za łbem wynurzył się cały zwierz tak wielki, jakiego dotąd Stakanczyk nigdy w życiu nie widział.

Zwierz podniósł ryj ku górze, jakgdyby węszył i słuchał, błysnął w słońcu potężnymi kłami, jakimi drzewa kilkunastoletnie ścinać potrafił i zdał się namyślać, co dalej czynić należy. Ztyłu płynęła za nim fala wrzasku obławników, przed nim pod borem ujadała psiarnia, od skrzydła prawego słychać było tętent pędzącego na koniu jeźdźca. Dzik nie miał innej drogi, jak tylko przez lewe skrzydło.

Iwan Gilarjewicz zobaczywszy niespodzianie odyńca, w pierwszym momencie zdumiał się i prawie swym oczom wierzyć nie chciał. Gdyby odyniec nagle wyskoczył lub zdradził chęć atakowania, sprawiłby pewnie na rewizorze piorunujące wrażenie, ale dzik wyszedł spokojnie i zdawał się nie widzieć Stakanczyka ukrytego za niewielkim krzaczkiem.

Bierność strasznego wroga obudziła w rewizorze chęć bohaterskiego czynu. Myśli jak błyskawice sunęły przez mózg; zabiję potwora, a wtedy — sława! Odyniec w chwili namysłu stał bokiem w całej swej potężnej okazałości. Strzał dla myśliwego był wymarzony.

Rewizor już podniósł flintę, ale go dziwny dreszcz przebiegł od stóp do głów i wstrzymała wątpliwość. Stanowczo jest za blisko! Najmniejsze drgnięcie ręki, zboczenie kuli i już nic go od strasznych kłów dzika nie uratuje! Gdyby chociaż tę kamienną stertkę miał nieco bliżej w odwodzie, strzeliłby natychmiast, a potem wdarł się na nią--byłby tam bezpieczny.

— Nado chytro, mudro i ostrożnie.

Dzik chrząknął donośnie.

— Teraz na cypoczkach (na palcach) do lepszej pozycji — szepnął rewizor.

I chyłkiem puścił się szybko i cicho ku stosowi kamieni. Już tylko parę kroków... Jakiś szumiący tętent z tyłu. Ogląda się... Boże! Dzik o kilkanaście kroków sadzi galopem wprost na niego!

Skrzydła zda się wyrosły u ramion rewizora. Momentalnie stracił wagę ciała. Jak jeleń w paru skokach już był na stosie kamieni.

Dzik minął kamienie i pędził susami przez łączkę, aby znów wpaść w żyta. Spostrzegł go Uchański, zmierzył—huknął strzał i dzik jeszcze bardziej gwałtownie skoczył naprzód.

Rewizor podobnie prędko jak się zląkł, zobaczywszy pędzącego za sobą odyńca, tak również prędko oprzytomniał na kupie kamieni. Dojrzał dzika jeszcze na polance, usłyszał strzał i już miał fuzję przy oku.

— Ach ty sukinsyn — szepnął z wściekłością.

Pociągnął za cyngiel. Trach! — z jednej lufy. Trach!—z drugiej. Dzik już w życie. Rewizor łamie strzelbę, nabija pośpiesznie—widzi wichrzone kłosy—wali w to miejsce dwa razy. Czuje ogromny przypływ energji, więc znów strzelbę nabija i posyła jeszcze dwie kule, ale już tylko w przypuszczalne miejsce, gdzie się dzik wtedy znajdował.

Odyniec przedarł się między naganką a lewem skrzydłem myśliwych i zniknął w zbożach.

Gwałtowna kanonada sprowadziła zaraz najbliższych strzelców. Nie czekając sygnału spieszyli kłusem w przekonaniu, że ich pomoc będzie konieczną. Jeszcze brzmiało echo ostatnich wystrzałów rewizora, gdy wbiegł na polankę Grzmotnicki, z drugiej strony wpadł na rozhukanym koniu praktykant Świderski, a za nim śpieszył na zdyszanym koniu ogrodnik.

Iwan Gilarjewicz stał na stosie kamieni jak posąg bohatera na piedestale. Prawą nogę wysunął naprzód, jedną ręką wsparł się na strzelbie, drugą zatknął za pas z ładownicą. Po czerwonych tłustych policzkach spływał mu pot, a oczy rzucały groźne spojrzenie.

— Połuczył sukinsyn, zdorowo połuczył! Daleko nie zajdzie!

Przybyli na polankę strzelcy nie wiedzieli narazie, co mówić i co o tem sądzić. Jeden tylko Uchański uśmiechał się jakoś dziwnie.

Stakanczyk zeszedł ciężko i ostrożnie z kamiennej stertki i począł starannie wraz z innymi oglądać miejsce przez które biegł odyniec.

— Więc to pan rewizor siedem razy strzelił do dzika — spytał Grzmotnicki.

— No nie tyle znowuż. Przecie i pan Uchański coś tam strzelał, ale ja za to dogodził mu w sam łeb. Farba powinna być. Daleko on nie zajdzie, ja na to panu czestne słowo daje. A że odrazu nie padł—trudno wymagać proszę pana, to była osobliwie twarda sztuka.

Naganka zbliżyła się do linji strzelców. Doleciał głos trąbki—sygnał zakończenia miotu. Obław-

nicy i myśliwi zdążali w kierunku strzałów, niektórzy byli pewni, że znajdą odyńca martwym, inni szli rozczarowani, usłyszawszy od Świderskiego wracającego z raportem do pułkownika, krótką wiadomość: „uciekł!“

Pan Romuald przybywał na miejsce strzałów ostatni. Z tego, co mu Świderski zaraportował, domyślił się całej prawdy i układał akt oskarżenia przeciw rewizorowi. Zarzuty były poważne: Stakanczyk stchórzył—uciekł ze stanowiska i strzałami wypłoszył dzika — musi więc być surowo ukarany.

Pan Romuald rozumował antiquo modo poprostu: rewizor uznał się jego podkomendnym, podlega więc egzekucji i regulaminowi łowieckiemu, który tradycyjnie daje wyraźne wskazówki stosowania cielesnej kary, może być więc tylko kwestja: ile wsypać rewizorowi na kobierczyku, dziesięć czy pietnaście. Lecz niestety sprawa się gmatwa: przestępca jest moskiewski urzędnik, który nie zna polskich zwyczajów łowieckich, słuszną karę uzna za zniewagę i mścić się będzie bardzo hojnie. I dlatego pan Romuald szedł powoli i zastanawiał się głęboko: jak pogodzić wymiar sprawiedliwości z dyplomacją.

Od strony lasu dochodziły nawoływania stróża i owczarka, usiłujących zebrać rozpierzchłe w gąszczach psy, a na łączce, przy stosie kamieni, które wiosną przyszykowane do budowy mostku po rowie tak znakomicie teraz przydały się Stakanczykowi, rozległ się tubalny głos rządcy. Grzmotnicki nie mógł darować prowodyrom obławy alarmu z powodu zająca i szkód w stratowanem życie.

Niektórzy z obecnych bardziej doświadczeni oglądali tropy i wyszukiwali w trawach farby z dzika, inni otoczyli Iwana Gilarjewicza, ktory z żywą gestykulacją opowiadał o swojem spotkaniu z odyńcem.

— Da! — ten zajac proklatyj tak samo zdurzył mnie jak i panów, ja wtedy strzelbę ze wszystkiem odłożył i z prawdziwym żalem myślał: uciekł—szysz tobie a nie kabana. Tymczasem ów prawdziwy kaban pocichońku z żyta wytyka łeb i jednem okiem patrzy, co ja też robię. Ja go zaraz dojrzał i za fuzję—a on w nogi—umyka chytrec do łączki, strzelać nie można, żyto przeszkadza, ucieknie—myślę, tedy ja za nim biegom, do wyższego punktu na te kamienie, skąd widać dobrze, co się w żytach dzieje. Jak stanął ja na tych kamieniach, tak dawaj mu po uszach kropić. Od pierwszego strzału już mój kaban zatoczył się jak pijany. Da — ja panom mówię: to sztuka osobliwie wielka i twarda on wiorstę albo i dwie z kulą we łbie przejdzie.

— Musi przejdzie, wielmożny nacelniku, bo straśnie wielkiemi skokami brykał przez pole—zauważył polowy, drapiąc się po głowie.

Uchański również coś chciał dodać, bo już w czasie opowiadania Stakanczyka kręcił się dziwnie, i podniósł rękę, jakby pragnął, aby mu głos dano, ale bał się widocznie rewizora i chował za plecami innych.

— Nu eto kłamstwo, on po moich strzałach wolniej szedł—odburknął polowemu rewizor, co jeszcze bardziej stropiło Uchańskiego.

Do gromadki strzelców zbliżył się gajowy i rad czemuś niezmiernie pokłonił się nizko rewizorowi.

— Jest—jest, wielmożny panie — rzekł tajemniczo.

— Co jest? poczęli wszyscy dopytywać ciekawie.

— Jest farba, znalazłem na życie. Sielnie farbuje, dalej jak milę nie ujdzie będzie musiał przysiąść. Dobrze mu wielmożny nacelnik dogodził — mówiąc to pokazał skrwawione źdźbło trawy.

Rewizor, którego strapiła nieco uwaga polowego, nabrał teraz zupełnej pewności siebie, sięgnął do kieszeni, wydobył zamszowy woreczek i zanurzył w nim grube palce.

— Maładiec! masz rubla i słuchaj, pan gajowyj, idź zaraz po tropach szukać dzika. Jak go znajdziesz, dostaniesz odemnie całe trzy ruble.

W tej chwili między gromadkę zdziwioną hojnością rewizora wszedł pułkownik:

— Co to za rozkazy? Stać na miejscu! Sprawa musi być dokładnie zbadana, świadkowie będą wysłuchani, a kto opuścił stanowisko i wypłoszył zwierza, ten zostanie przykładnie ukarany.

Iwan Gilarjewicz znów się poważnie zaniepokoił. Z trudem zdobyte pozory opinji odważnego strzelca przepadną, jeśli na jaw wyjdzie jego ucieczka. Dzięki rygorowi, łowieckiemu pana Romualda zostanie ośmieszony wobec tłumu on—carski czynownik w mundurze! Krew mu nabiegła jeszcze obficiej do głowy.

— Niechaj sprobuje pomyślał stakanczyk i spojrzał z nienawiścią na pułkownika — už ja podsolę jemu za wszystkie czasy i za wszystkie ichnie polskie intrygi!

Burza wisiała na włosku.

Szczęściem groźną sytuację zauważył dziedzic i postanowił całą sprawę odrazu zlikwidować. Poprosił więc pana Romualda na chwilę poufnej rozmowy, w czasie której pułkownik z początku żywo wymachiwał ręką, jak gdyby chłostał kogoś leżącego na ziemi, lecz po chwili dał się widocznie przekonać, wrócił bowiem do gromadki już udobruchany i oświadczył rozkazująco:

— Polowanie zostaje narazie przerwane. Gajowy z polowym pójdą tropić dzika i dadzą mi znać, gdy go znajdą, chłopcy z naganki zjedzą przywiezione zakąski i wrócą do swej pracy pod dowództwo karbowego. Nas myśliwych zaś, choć pokpiliśmy sprawę dziedzic prosi do siebie na obiadek.

W drodze powrotnej nastrój między myśliwymi panował nieco przygnębiony z powodu nieudanego polowania, przy obiedzie zato odmienił się zasadniczo. Wszyscy nie wyłączając pułkownika, poczęli traktować całą aferę jako krotochwilę i pokpiwać nieco z rewizora. Stakanczyk kręcił się jak żuk na szpilce, twierdził wciąż, że dzik od jego strzałów jest poważnie ranny, udawał zucha, kłamał i wykręcał się jak mógł, wreszcie doczekawszy ostatniego dania oświadczył towarzystwu, że czuje się znużony polowaniem i idzie na wypoczynek do akcyznych pokoi. Tam zaniesiono mu również zwykły „stakanczyk czaju“ z nieodzowną butelką spirytusu.

Po wyjściu rewizora przy czarnej kawie języki się rozwiązały na dobre. Opowiadano szczegóły o strachu rewizora, o ucieczce i kanonadzie nie tyle do głowy dzika, ile do jego szynek. Pokpiwano również i z farby znalezionej na trawach przez Wrzoska.

Naraz „czarną kawę“ przerwał niespodziany epizod. Wszedł służący i zameldował, że jakiś Nie-

miec chce koniecznie widzieć się zaraz z panem gorzelanym.

— Masz ci djable kaftan! Mało nam Moskal krwi napsuł, teraz znów Niemca licho przyniosło.

Pułkownik wyszedł i po chwili wrócił bardzo ożywiony.

— No i co panowie powiecie, jeśli Stakanczyk będzie miał rację? Dzik rzeczywiście jest postrzelony, panie dzieju. Otropił go gajowy aż na niemieckich kolonjach i przysłał konnego o pomoc.

Wiadomość ta zelektryzowała towarzystwo, poderwano się od stołu i nim pół godziny upłynęło, już gromadka myśliwych ruszyła w stronę kolonji drabiniastym półtorakiem, zaprzężonym w czwórkę dobrych fornalskich koni. Do pomocy w osaczaniu zwierza zabrano na wóz Zagraja i trzy inne najdzielniejsze kundysy.

Poczet udających się na wyprawę strzelców zmalał: należeli do niej tylko pan Romuald, dwóch praktykantów, Uchański i ogrodnik. Inni pozostali bądź dla zajęć gospodarczych, bądź dlatego, że liczbę strzelców uznano za wystarczającą.

Stakanczyka nikt nie zawiadomił o wznowionem polowaniu, to też siedział zgnębiony w swoim akcyznym pokoju, przetrawiał dotkliwe wrażenia i popijał herbatę przezroczystą od alkoholu. Wreszcie wylał resztę spirytusu do szklanki, wychylił ją do dna, podniósł się z krzesła, kopnął go nogą i wyrzucił z głębi rosyjskiej duszy:

— Na eto wsio mnie — naplewat'.

Poczem rozwalił się na łóżku, a za chwilę słychać było już tylko głośne chrapanie.

(D. c. n.). *Jan Szczepkowski.*

Kronika myśliwska.

KOMUNIKATY.

W myśl rozporządzenia Ministra Rolnictwa i Dóbr Państwowych z dn. 11.III 1924 l. dz. 572 jesteśmy przez urząd państwowy zawezwani do złożenia raportu, jaki jest stan kuropatw w poszczególnych powiatach, jak przezimowały i jakie są widoki na rok 1924. Upraszamy niniejszym wszystkich właścicieli łowisk, jako i do Związku naszego należące Towarzystwa o nadesłanie nam do 25 kwietnia b. r. z wymienieniem powiatu odpowiedniego sprawowania.

Poznań 10 kwietnia 1924 r.

Polski Związek Myśliwych
W. łowczy *Wł. Janta-Połczyński.*

„Oddział Kinologiczny“ Śląskiego Towarzystwa Łowieckiego w Cieszynie.

Program:

1. Egzamin wyżłów młodocianych będzie przeprowadzony 26 kwietnia 1924 w łowisku w Żebczydowicach na Śląsku Cieszyńskim pol.

Do egzaminu będą dopuszczone wyżły wszystkich ras z pomiotu w r. 1923 bez względu czy już zarejestrowane czy nie. Egzamin przeprowadza się według osobno zestawionego regulaminu, który można zażądać z formularzem zgłoszenia u Zarządu (sekretarz L. Badura, Żebczydowice pow, Cieszyn). Termin zgłoszenia 20 kwietnia. Stawka: 3 miljony marek. Punkt zborny w dniu egzaminu o 8 godz. rano na dworcu w Żebczydowicach (kolej Dziedzice—Piotrowice) skąd nastąpi odmarsz do łowiska. Wylosowanie do egzaminu zgłoszonych wyżłów nastąpi na posiedzeniu Zarządu w dniu przed egzaminem i w dniu egzaminu będą numery losu doręczone. O drapieżniki postara się Zarząd. Na sędziów są proszeni: następujący pp. Ks. L. Niedbał z Poznania, właściciel ziemski Jan Folwarczny z Małych Konczyc i Herbert Bernacik z Frysztatu. Menerzy. z zagranicy powinni się celem ulokowania z sekretarzem zawczasu porozumieć. Prosimy szanownych członków również zwolenników towarzystwa przez liczny udział i liczne zgłaszanie wyżłów, jak również przez składanie datków pienlężnych i nagród o łaskawe wsparcie.

W związku z pomieszczonem w № 6 sprawozdaniem z polowania w Mieńkowiczach u p. Sokołowskiego, zaznaczamy iż chochlik zecerski umieścił zwrot o nagance jakoby prowadzonej pod zdechłym psem. Stosowało się to do zupełnie innego polowania z którego sprawozdanie w ostatniej chwili zostało skreślone.

Rezultat zresztą polowania stwierdza iż zwrot ten nie mógł odnosić się do polowania u p. Sokołowskiego, którego za mimowolną przykrość przepraszamy niniejszem.

Korespondencje.

Roś, ziemi Grodzieńskiej (Wołkowyski powiat).

W pierwszej swej korespondencji z Rosi obiecywałem sobie dać cały szereg opisów polowań i przygód myśliwskich, do jakich myślałem że dadzą mi obfity materjał tak piękne tutejsze tereny; tymczasem nadzieje moje, jak to często się zdarza, bardzo mię zawiodły—nie z powodu braku zwierzyny, gdyż tej jest dużo, lecz z przyczyn odemnie niezależnych. Najgłówniejszą z nich jest wzbronienie polowania w lasach pracownikom majątku; a przecież taki spacer z flintą samotnie w głębokim ostępie sprawia ogromną przyjemność dla prawdziwego myśliwego swym tajemniczym urokiem i tą myślą, że „może się coś nadzwyczajnego wydarzyć“. Przytem daje możność poznania kniej, by być wskutek tego dobrym doradcą na polowaniach zbiorowych, jak również stawać się pomocą leśnictwu w walce z ogromnie tu rozwiniętym kłusownictwem, — gdyż takiego samotnego myśliwego kłusownik gorzej się boi niż gajowych, z którymi często bywa w porozumieniu. Uszczerbku w zwierzostanie zrobić wielkiego nie można, — bo chodząc bez psa po lesie, rzadko nadarzy się sposobność do strzału. Chyba po ponowie tropiąc szaraka zabiłoby się jakiego raz na tydzień w niedzielę, gdyż w dnie powszednie na polowanie czasu niema, coby na zimę wyniosło jakie z dziesięć sztuk najwyżej; dodać przytem muszę, że takich amatorów myśliwych jest nas raptem dwóch.

Wszystkie oficjalne polowania, na których uczestniczyłem (7 razy) były urządzone specjalnie na dziki, a do innego gatunku zwierzyny wolno było strzelać po pierwszym strzale do dzików, a że

w największej ilości wypadków nie wychodziły one na linję, lub też ich wcale w zajmowanej kniei nie było, więc w oczekiwaniu tego pierwszego strzału patrzało się na przechodzące zające, kozły i lisy; a gdy po przejściu kilku miotów straciwszy nadzieję na dziki, usłyszało się: „strzelać do wszystkiego“, zwykle już „to wszystko“, zaniepokojone hałasem, wyniosło się do dalszych kniej lub sąsiednich lasów. Dosyć powiedzieć, że przez cały sezon jesienno-zimowy na tych polowaniach padło około 50 zajęcy, dwa lisy i dwa dziki wszystkiego; moje trofea wynoszą 8 zajęcy i jednego dzika.

Nader obfite śniegi tej zimy dały mi możność często przejeżdżając przez lasy jako kontroler majątkowy, a równocześnie obserwując tropy jako myśliwy, zdać sobie sprawę z ilości zwierzyny; otóż przyszedłem do wniosku, że zajęcy jest tyle, iż urządziwszy polowania specjalnie na nie, w 5 — 6 strzelb, można by zabić 40 — 50 sztuk w jednym dniu; dzików stałych, nie licząc przechodnich z sąsiednich lasów, jest 40—50 sztuk; sarn sztuk 30.

Główną przyczyną marnych rezultatów tutejszych polowań jest to, iż w leśnym wydziale nie ma żadnego doświadczonego i praktycznego myśliwego, który by umiał należycie poprowadzić polowanie, — zwłaszcza na tak mądrego i ostrożnego zwierza jak dzik, umiejącego najmniejszy błąd wykorzystać; w dodatku nadzwyczaj sympatyczny ludek tutejszy, z natury ogromnie leniwy i niesumienny, przy szeroko tu i jawnie prowadzonej bolszewickiej propagandzie, zalety te doprowadził do perfekcji i przejął się zasadą, aby jak największą brać od „paniw“ płacę, a jak najmniej i najgorzej robić, co stosuje nawet w tak lekkiej robocie jak naganka; rozstawiony w linję wkrótce po ruszeniu zbiera się w gromadki dla pogawędki, a przez powstałe w ten sposób luki zwierzyna najspokojniej wraca.

Że przy takich warunkach prowadzenie polowania jest trudne, to prawda, ale swoją drogą znajomość obyczajów zwierza, jego sposób samoobrony, praktyka długoletnia i zamiłowanie myśliwstwa koniecznie są potrzebne.

Tu na 6—7 myśliwych bierze się 40—50 naganiaczy, ja dawniej w ogromnych lasach wołyńskiego Polesia brałem ich pięciu — sześciu tylko, ale przy znajomości kniei, zważając na kierunek wiatru i inne na pozór drobne szczegóły, prawie zawsze otrzymywały się dobre rezultaty.

Ogromnie mroźna i śnieżna zima tegoroczna dała się bardzo we znaki zwierzynie, a zwłaszcza dzikom, które w braku pożywienia podchodziły do wiosek i rozrywały kopce z ziemniakami, co ułatwiało ogromnie kłusownikom polowanie. Wiele razy w noc księżycową słyszałem oddalone strzały, najczęściej karabinowe, a napewno taki myśliwy z karabinu do zająca nie strzela, więc dziki padały ofiarą. Przed paru tygodniami cztery dziki zgłodniałe widać podeszły w dzień do budynków jednego z folwarków ordynacji, będącego w dzierżawie; dzierżawca wysłał konno fornali, którzy wpędzili je w zaspę śnieżną i tak, goniąc je, zmęczyli, że jednego końmi stratowali, a trzy zapędzili do folwarku i w szopie zamknęli. Zarząd leśny zwrócił się z żądaniem wypuszczenia ich, na co pan dzierżawca nie zgodził się, powiadając, że zostały one zajęte w szkodzie i zażądał odszkodowania po 100 miljonów za sztukę. Sprawa ta poszła na drogę sądową i wyrok ogromnie mnie zaciekawia — myślę, że i ogół myśliwych będzie tem zainteresowany, gdyż zdaje mi się, iż tego rodzajn wypadku jeszcze nie było — po wydaniu więc wyroku nie omieszkam o przebiegu sprawy do „Przeglądu“ napisać.

A. Terpiłowski.

RYBOŁÓWSTWO.

Natura gospodarstwa rybnego.

W zakresie hodowli ryb najdłużej przetrwał przesąd, iż natura ma niewyczerpane skarby dla potrzeb i przyjemności ludzkiej stworzone. Pomimo jednak że wiemy już dzisiaj, że nie tylko w stawach, lecz także i w jeziorach, rzekach, oraz morzach, ilość organizmów i ich przyrost znajduje się w ścisłej zależności od zdolności tych wód do wytworzenia pokarmu, pomimo, że niejednokrotnie przekonaliśmy się, iż chcąc stale korzystać z dobrodziejstw natury musimy się bardzo liczyć z mechanizmem życia i niwelować szeregiem zabiegów gospodarczych te szkody, które wyrządzają temu mechanizmowi dzisiejsze sposoby użytkowania wód, pomimo to zagadnienia rybactwa nie traktuje się z tą powagą z jaką zagadnienia gospodarcze traktować należy.

Nie tylko jednak u nas rybactwo jest w ten sposób traktowane; pozwolę sobie przytoczyć dłuższy nieco ustęp z ostatniego sprawozdania Głównego Komisarza Rybołówstwa Stanów Zjednoczonych, które świadczy, że widocznie natura gospodarstwa rybnego musi być przyczyną tego jednostajnego wszędzie niezrozumienia potrzeb rybactwa.

„Uderzającym jest — czytamy w tem sprawozdaniu—kontrast przy porównaniu rozwoju produkcji rolnej z produkcją rybną. Wówczas gdy w przeciągu kiku lat widzimy z satysfakcją stały i rzucający się w oczy rozwój produkcji w głównych działach rolnictwa, widzimy jednocześnie w rybactwie, niestety przy małem naogół zainteresowaniu, zupełnie odmienne stosunki co do wysokości plonów, uzyskiwanych z naszych przestrzeni wodnych. Wówczas gdy zasiewamy coraz więcej pszenicy i żyta, więcej hodujemy bydła i ptactwa, mamy coraz mniej siei i flądry, mniej raków. Nowe przestrzenie zajmujemy dla produkcji ziemniaków i owoców, wówczas gdy poważne tereny wodne, które dostarczały ostryg,

straciły swe znaczenie, a jesiotr i inne cenne gatunki ryb zanikają zupełnie. Wiele naszych rybołóstw można powiedzieć, mają już tylko historyczne znaczenie.

Należy zwrócić uwagę, że zmniejszenie zbiorów rolnych naogół zawsze wywołuje natychmiast energiczne żądanie zastosowania metody badań naukowych celem wyjaśnienia przyczyn zmniejszenia i odnalezienia środków zaradczych. Z drugiej strony wyjałowienie cennych terenów wodnych rzadko wzbudza zainteresowanie ogółu. Jedynie mały i często zmieniający się personel z bardzo ograniczonym zaopatrzeniem technicznem jest postawiony wobec skomplikowanych zadań, które dotyczą kroci rozmaitych jednostek gospodarczych w morzach, rzekach i jeziorach. Wówczas gdy zmniejszenie produkcji zboża *staje się impulsem działania*, zmniejszenie połowów śledzi pozostaje *tylko materjałem do rozmów*.

A nie można przecie powiedzieć, że wyczerpanie bogactw rybnych jest nieuniknionem, albo że zanik rybołówstwa nie został w poszczególnych miejscach wstrzymany, lub nawet cofnięty. W wielu wszak wypadkach, zostały stwierdzone skuteczne wyniki zastosowanych środków hodowli ryb i zarybienia. Badania już przeprowadzone przyniosły w plonie pewien nabytek wiedzy co do rozpowszechnienia zwyczai i warunków życia ryb; na podstawie tych znajomości stosują się zdrowe środki ochronne i prowadzi się pracę sztucznego zarybiania tak szeroko stosowaną w Ameryce. (W roku sprawozdawczym w wylęgarniach i zakładach hodowlanych Rządu federacyjnego zostało wyprodukowane 5.135.101.320 sztuk narybku i ikry, w tem 339 miljonów kroczków i roczniaków).

Gdyby nabytek wiedzy był większy, sztuczne zarybianie miało by większe powodzenie i byłoby bardziej oszczędnem; pozatem byłoby bezwarunkowo bardziej skuteczne w stosunku do niektórych gatunków ryb, gdyby ustawodawcza reglamentacja rybołówstwa była bardziej racjonalna i zbudowana bardziej odpowiednio do swoich zadań.

Nigdy być może nie było większej potrzeby zastosowania wiedzy w zakresie ichtiologji do praktycznych celów dla dobra ogólnego; jednocześnie należy stwierdzić, że brak jest odpowiednio do tej potrzeby zapotrzebowania na badania naukowe, których wynikom jest zapewnione zastosowanie.

Wszystko to co przytoczyłem ze sprawozdania amerykańskiego ma zupełne zastosowanie do naszych stosunków; a mógłbym przytoczyć zupełnie identyczne ustępy za memorandum rzeczoznawców angielskich w sprawie naprawy stosunków rybackich w tym kraju.

Źródłem tej trudnej sytuacji w której się znajduje rybactwo śródlądowe we wszystkich krajach, oraz powodem braku zrozumienia potrzeb tej gałęzi wytwórczości jest, jak powiedziałem, natura gospodarstwa rybnego rzecznego, jeziorowego i związanego z niemi rybołówstwa morskiego.

Z ekonomji społecznej wiemy, że wszelki ogół przedmiotów i czynności, który się używa w celu trwałego zaspokojenia potrzeb określamy nazwą gospodarstwa; podstawowemi zaś cechami każdego gospodarstwa są:

1. Zabezpieczenie trwałości pożytków;
2. Zorganizowanie pracy i przedmiotów;
3. Pozyskanie i zrealizowanie użytków.

Dzisiejszy stan wiedzy rybackiej i przyrodniczo-stosowanej w zakresie badań wód wskazuje, że rybołówstwo może i winno być formą gospodarstwa i obok pozyskania użytków winno myśleć o dwu pozostałych najbardziej ważnych, ale jednocześnie tu niezmiernie trudnych stronach gospodarstwa.

Zaniechanie czynności zabezpieczenia użytków i racjonalnego zorganizowania gospodarstwa—przekształca czynności gospodarcze w formę rabunku i stopniowego zniszczenia bogactw, zaprzeczając idei trwałego zaspokojenia potrzeb, gdyż stan taki doprowadzić winien niechybnie do kompletnego wyjałowienia wód, z czem zresztą bardzo często się spotykamy, lecz co niestety nie stanowi odstraszającego przykładu.

Podjąć się jednak tych czynności, wymagających dokładnej znajomości całokształtu stosunków przyrodniczo-hodowlanych danego terenu wodnego, mogły tylko takie jednostki gospodarcze, które albo się spotkały z zadaniem niezbyt skomplikowanem, lub też widziały znaczną wygraną w opanowaniu sytuacji. Można to było uczynić gospodarstwom zamkniętym i odrębnym przy hodowli karpia i pstrąga w stawach sztucznych, gospodarstwom na drobnych jeziorach lub na rewirach pstrągowych.

Całość zaś gospodarstwa rybnego na wodach otwartych i morskich temu zadaniu podołać niemogła i to nie tylko wobec zbyt wielkich dla każdego gospodarstwa trudności na drodze poznania swego terenu, oraz ułożenia planu gospodarczego, lecz też ze względu na inne przyczyny natury prawno-ekonomicznej.

Poszczególne jednostki gospodarcze jeziorowe i rzeczne nie są gospodarczo izolowane jedna od drugiej, przeciwnie, są mniej lub więcej związane ze sobą i wymagają łącznego traktowania gospodarczego. Szczególnie uwydatnia się to przy zagadnieniu utrzymania ryb wędrownych, lecz nie mniej daje się odczuć przy dążeniu utrzymania innych gatunków jak w jeziorach tak i w rzekach...

Badania kwestji upadku rybołówstwa we wszystkich krajach przez znakomitych rzeczoznawców i całe ekspedycje naukowe, doprowadziły do wniosku, iż czynności w zakresie zabezpieczenia trwałości pożytków w gospodarstwie rybnem śródlądowem i morskiem, oraz w zakresie należytego zorganizowania tego gospodarstwa może podjąć się jedynie władza państwowa i winna to zrobić w interesie dobra publicznego. Uskutecznić zaś to należy w formie ustawodawstwa ochronnego oraz przepisów reglamentujących czynności gospodarcze, w drodze t. zw. państwowego zarybiania wód.

W ten sposób powstały bardzo ściśle opracowane systemy prawodawstwa rybackiego, wnikającego bardzo głęboko w życie gospodarcze. Obok ograniczeń prawa połowu co do czasu, sposobu i miejsca, wprowadzone zostają miary minimalne dla poszczególnych gatunków ryb i zakaz sprzedaży ryb złowionych wbrew tym przepisom; obok państwowego zarybiania ustala się obowiązek zarybiania przez uprawnionych; wreszcie w celu zorganizowania

rybołówstwa wprowadza się ograniczenie liczby użytkujących, podział wód na jednostki gospodarcze zwane rewirami, obowiązek długoletniej dzierżawy, przymusowe spółki gospodarcze i ścisłą rejestrację uprawnionych i użytkujących.

Nie potrzebuję tu wyjaśniać, że mniejsze lub większe powodzenie ochrony ryb i zarybiania, jak też i reglamentacji rybołówstwa zależy od dokładnej znajomości stosunków przyrodniczo hodowlanych dla tego też na badania w tym zakresie kładzie taki nacisk sprawozdanie amerykańskie; jesteśmy świadkami szybkiego rozwoju tej dziedziny naukowej nietylko w Ameryce, lecz też sąsiadujących z nami Rosji i Niemczech. Zrozumiałem też jest, że wykonanie tego systemu wymaga fachowej organizacji t. zw. władz rybackich posiadających kwalifikacje przyrodniczo hodowlane; zadaniom tym nie są w stanie podołać ani władze bezpieczeństwa publicznego, powołane zresztą do innych zupełnie zadań, ani też instruktorowie i technicy rolni.

Józef Borowik.

Z Towarzystw Myśliwskich.

W dniu 22 Marca r. b. odbyło się 3-cie roczne ogólne zebranie członków Kółka Łowieckiego „Jeleń“ w Warszawie, na którym po za sprawami czysto wewnętrznymi Kółka, wybrano nowy Zarząd na rok bieżący, a mianowicie:

Prezes: J. Łada (ponownie).
Gospodarz-Łowczy: B. Krysiński (ponownie).
Sekretarz: L. Krukowski (ponownie).
Skarbnik: St. Mertens.
Zastępcy: B. Zakowicz, M. Laskowski.

Do Komisji Rewizyjnej wybrano: pp. Br. Jakubowskiego, B. Gędziorowskiego i W. Ziegenhierte. Przewodniczył kol. L. Krukowski, sekretarzował kol. S. Mertens.

Gospodarz i Łowczy

B. Krysiński.

W Kole, staraniem komendanta policji państwowej, p. Mańkowskiego, łowczego miejscowego Tow. łowieckiego, p. J Łuszczewskiego, zwołano zebranie wszystkich osób, posiadających broń w powiecie kolskim: na 290 wydanych pozwoleń zebrała się prawie połowa ich posiadaczy. Nienależący do Tow. łowieckiego postanowili zorganizować się w jedno koło, celem przestrzegania praw myśliwskich, racjonalnego polowania, prześladowania kłusowników, zastawiających sidła i wnyki, sprzedających zwierzynę w nieodpowiednim czasie, a na koszty z tem związane ściągać od wszystkich, posiadających broń po 10 miljonów marek, opornych tym postanowieniom przekonać lub zmusić do wspólnego działania a w ostateczności starać się o pozbawienie nieprzekonanych prawa dalszego posiadania broni.

Szczególnie zaznaczenia godnym jest fakt, że włościanie sami poddawali plany wyżej wymienione, obowiązując się wzajemnie przestrzegać i kontrolować przy wypełnianiu postawionych zarządzeń.

Sz. Czytelnikom i Przyjaciołom naszego pisma, a zwłaszcza Redakcjom bratnich wydawnictw: „Łowca“ Lwowskiego i „Łowca Polskiego“ przesyłamy serdeczne życzenia z okazji nadchodzących Świąt.

REDAKCJA „PRZEGLĄDU MYŚLIWSKIEGO I ŁOWIECTWA POLSKIEGO“.

Porady dotyczące broni i amunicji.

Pistolety automatyczne fabryki Anciens Etablissements Pieper są zbudowane bardzo dobrze z punktu widzenia technicznego, a cechą charakterystyczną ich jest mała objętość i waga przy większym naboju jak naprzykład kaliber 7,65 lub 9 m/m (przy obydwóch kalibrach wielkość rewolweru jednakowa).

Jakkolwiek rewolwery fabryki A. E. P. marka „Bayard“ cieszyły się zasłużonym powodzeniem, to jednak fabryka nie ustaje w dążności do ulepszeń technicznych i idąc za postępem zmienia zasadniczo w tym czasie fabrykacje wszystkich typów pistoletu Bayard.

Kaliber 6,36 w nowym modelu ujrzał już światło dzienne i w bardzo niedługim czasie będzie w sprzedaży. O solidnej budowie świadczy to, że jak pisze fabryka, z pierwszych kilku pistoletów wypuszczono z górą po 4 tysiące strzałów bez najmniejszego uszkodzenia.

Nowy model kalibru 7,65 oraz 9 m/m wypuszczony zostanie po gruntownych próbach za 3 do 4-ech miesięcy. *S. C.*

Rozmaitości.

Nieco o ptakach w „Panu Tadeuszu“.

W części *objaśnień do „Pana Tadeusza (wydanie Józefa Kallenbacha i Jana Łosia. Lwów—Warszawa—Kraków. Wydawnictwo Zakładu Narodowego Imienia Ossolińskich 1921 r.)*, odnoszących się do nazw ptaków, zauważyłem błędy, które podaję:

str. 86, w. 86 — „kraska, zwana także sójką, sinowronką lub krasnowronką“ — powinno być: kraska, zwana także sójką kraską, sinowronką lub krasnowronką, bo sam wyraz sójka oznacza zupełnie inny rodzaj i gatunek (kraska — Coracias garrula L., sójka — Garrulus glandarius Keys. et Bl.)

W „Panu Tadeuszu“ Mickiewicz porównywa Zosię do kraski, zapewne dlatego, że to ptak płochliwy i bardzo ładny: seledynowo-błękitny, na grzbiecie kasztanowaty, o lotkach z wierzchu czarnych, od spodu szafirowych.

str. 185, w 793 — „Już na poddaszu trzykroć krzyknęły puszczyki“ — możnaby umieścić objaśnienie: „puszczyk = sówka... wieczorem odzywa się głosem przeciągłym, do śmiechu ludzkiego podobnym lub też naśladuje zgłoski ku-wik, ku-wik... Zabobonne pospólstwo różne znaczenie tym głosom przypisuje: jedni uważają je za śmiechy złych duchów, inni, wiedzący,

że od sowy pochodzą, poczytują je za przepowiednie śmierci lub narodzin" (Ptaki krajowe, przez Władysława Taczanowskiego. Wydanie Akademji Umiejętności w Krakowie 1822).

str. 348, w. 28 — „słomka, także słąka=słonka-dubelt, ptak z rodziny bekasów" — usunąć wyraz dubelt, gdyż nie stanowi on synonímu słomki, lecz oznacza zupełnie inny rodzaj i gatunek (słomka — Scolopax rusticola L., dubelt, bekas właściwy — Gallingo major Lcach.).

str. 348, w. 35—„siewka=z rodziny brodzących" — skreślić, gdyż już na str. 95, w. 338, jest wzmianka o niej.

Z. Makowski.

Ochrona zwierzyny w Afryce południowej.

Do parlamentu południowo - afrykańskiego ma być wniesiony podczas najbliższej sesji projekt prawa o utworzeniu z terytorjów Sabi i Szinguedzi „parku narodowego", na wzór parku Yellowstone w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej.

Projekt ten ma na celu ochronę przed zupełnem wygaśnięciem wielu okazów fanny południowo-afrykańskiej, jak liczne gatunki wspaniałych antylop, zebr, bawołów, hipopotamów, słoni, nosorożców i t. p., tępionych bez miary przez wyprawy myśliwskie i osadników, zaludniających coraz bardziej stepy i busz południowo - afrykański.

Niedawno oświadczył dyrektor narodowych ogrodów zoologicznych Afryki południowej, dr. A. K. Hagner, że jeżeli nie będą utworzone jaknajprędzej terytorja ochronne, tak, jak w Ameryce Północnej, to mnóstwo pięknych gatunków zwierzęcych Afryki południowej wprost przestanie istnieć.

To też komisja parlamentu południowo-afrykańskiego, której już w 1918 r. powierzono ochronę zwierzostanu, nalega obecnie na szybkie uchwalenie prawa, co do utworzenia „parku narodowego" na terytorjach Sabi i Szinguedzi.

Terytorja te, położone w Transwaalu, na granicy terytorjum portugalskiego, obejmują przestrzeń 6,410 kwadratowych mil. ang. i tworzą pas lądu około 300 mil. ang. długości i średnio 50 mil. aag. szerokości ze stepami, lasami i górami, a więc odpowiadający warunkom życia najrozmaitszych gatunków zwierząt.

W razie utworzenia na tej przestrzeni „parku narodowego", byłoby to bezwątpienia największe na świecie terytorjum, na którem zwierzyna miałaby zapewniony byt, nie narażana na rzezie ze strony myśliwych, a także osadników, dbałych o swe zbiory.

ODPOWIEDZI OD REDAKCJI.

WP. Barcikowski. Konarskie p. Książ (Wielkopolska). Praca p. Wł. Korukowskiego pt. „Pamiętniki charciarza" była drukowana częściowo w „Łowcu" lwowskim i będzie drukowana częściowo w „Przeglądzie Myśliwskim".

WP. W. H. Łysów. (Z. Siedlecka). Radzimy ogłosić w naszem piśmie. W razie otrzymania wiadomości, niezwłocznie damy znać o kuropatwach.

WP. Józef Jabłonowski. Przyborowie p. Grabiny, (Małopolska).

Drukujemy szczegółowe studjum o puhaczu. Żywić należy go codziennie dając wronę lub kawkę z piórami. Można mu dawać też uwłosioną zwierzynę oraz myszy.

Ks. Lud. Niedbał. Wniosek o premje konkursowe dla treserów przychylnie zaopinjowany przez ref. Łowiectwa w Min. Rolnictwa poszedł dalej drogą służbową i zostanie prawdopodobnie pomyślnie rozstrzygnięty.

WP. Lud. Lisiewskiemu w Glinojecku. Obie firmy, wyrabiająca i sprzedająca same za siebie mówią.

Ceny określić trudno: fabryka robi od najtańszych do najdroższych modeli.

Od Administracji.

Administracja uprzejmie prosi wszystkich, nadsyłających ogłoszenia, o dokładne wskazywanie rozmiarów, ilokrotności ogłoszeń oraz równoczesne nadsyłanie należności p/g cen wskazanych w każdym № pisma.

Redaktor Naczelny: Juljan Ejsmond. **Komitet Redakcyjny:** Gen. Bronisław Grąbczewski, Józef Błeszyński, Wł. Janta Połczyński, Włodzimierz Korsak i Józef Gieysztor.

Redaktor przyjmuje od godz. 1 — 2 w poniedziałki w mieszk. prywatnem Pl. Trzech Krzyży 12 m. 3a.

Redakcja i Administracja: Szpitalna 12. Warszawa.

Numer pojed.—**1 miljon** mk. Prenumerata kwartalna (z odsył. do domu)—**5 miljonów** mk.; Konto czekowe w P.K.O. № 7595.

Cena ogłoszeń: strona—**40 złp.**; 1/2 str.—**25 złp.**; 1/4 str. **15 złp.**; 1/8 str.—**8 złp.**; 1/16 **5 złp.**